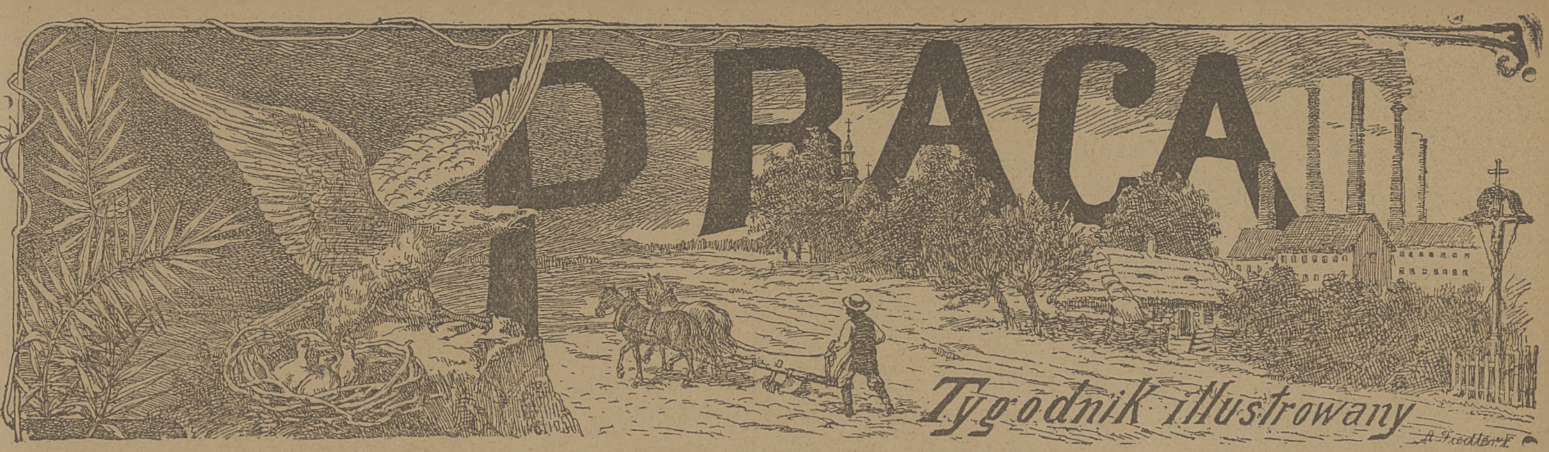
Nr. 29. Poznań, Niedziela 15-go Lipca 1900 r. Rok IV.



Przedpłata w Poznaniu i na wszystkich pocztach w Niemczech wynosi kwartalnie ***1 markę;*** *na poczcie w Austro-Węgrzech* ***59 cent.***
Pod opaską: *w Niemczech* ***1,65 mr.,*** *w Austro-Węgrzech* ***1 złr.,*** *za Oceanem* ***1 dolar.***
Redakcya i Administracya „Pracy" znajduje się w Poznaniu przy ulicy Rycerskiej Nr. 38. Telefon Nr. 295.

Manuskryptów nie zwraca się.

A więc wojna!...

To co było dotąd wątpliwością, istotną, czy udaną, przed czem rządy europejskie zatrzymywały się w niepewności, niby przed pełnej dziejowej grozy zagadką, przewidując, i słusznie, ciężkie powikłania przy jej rozwiązaniu — to zostało nagle kategorycznie wyjaśnionem i uznanem w jednem przemówieniu monarchy, który z właściwą mu porywczością przeciął węzeł gordyjski i wypowiedział straszne słowo: „wojna!"

A więc nie zawierucha rewolucyjna, nie chwilowy zamęt wewnętrzny w Chinach, lecz wojna, wojna pomsty i kary...

Porywczym tym mówcą monarszym był naturalnie Wilhelm II, który nie po raz pierwszy już przemówieniami swemi wprawiał w wielkie zakłopotanie zawodowych dyplomatów. Tym razem wszakże monarcha niemiecki miał do pewnego stopnia słuszność. Na co się zdadzą wybiegi dyplomatów, gdy pożogą wojny objęty został cały niemal obszar Chin, gdy krew się leje i grzmią armaty, gdy rozjuszona tłuszcza chińska, licząca dziesiątki milionów i pałająca nienawiścią do wszystkich bez wyjątku cudzoziemców— — morduje ich bez litości i pastwi się nad bezbronnymi przedstawicielami Europy.

Dość złudzeń i samo oszukiwania się, wszystko jedno bowiem: rząd, naród, czy patryoci — zbóje, z sekty „czerwonej pięści." Jeśli bowiem ci ostatni górują i rządzą, to znaczy, że innego rządu już nie ma, a przynajmniej jest tak bezsilny, iż liczyć się z nim szkoda zachodu i pracy.

Że zaś w dodatku stwierdzono już urzędownie, że poseł niemiecki został okrutnie zamordowany, przeto mord ten „wymaga zemsty i pełnej satysfakcyi dla pierwszorzędnej potencyi europejskiej."

Zaznaczył to wyraźnie Wilhelm II mówiąc: „Flaga niemiecka znieważona. Państwo niemieckie zelżone. Wymaga to przykładnej kary i zemsty i nie uspokoję się dotąd, póki flagi niemieckie w połączeniu ze sztandarami mocarstw, nie zaczną powiewać na murach Pekinu, aby podyktować Chinom warunki pokoju!..."

Oto znamienny ustęp z przemówienia, ustęp, pełen oburzenia i groźby pod adresem Chin, i ufności zarazem w potęgę mocy niemieckiej, zdolnej, nie tylko upomnieć się i ukarać wyrządzoną sobie zniewagę, lecz i narzucić dyrektywę polityczną państwom Europy.

Czyż bowiem przemówienie cesarza niemieckiego nie jest programem polityki względem Chin, nietylko już dla Niemiec samych, lecz i dla innych państw europejskich, przy udziale i pomocy których Wilhelm II. pragnie zatknąć sztandary niemieckie na murach Pekinu i podyktować warunki pokoju?

Co zaś znaczyć może takie „dyktando" zwycięzkiej strony wojującej, tego tłumaczyć zdaje się nie potrzeba: streszcza się w niem groźba zaboru, niewoli, kontrybucyi wojennych, nie wyłączając i ostatecznego wreszcie podziału państwa zwyciężonego.

Oto program polityczny, w którym, bezwiednie może, przyznał sobie dyrektywę cesarz niemiecki, nie zdając sobie sprawy czy i o ile narzucony ten program może być przyjęty i wykonany. „Chory żółty człowiek" nie jest już dziś tym rozklekotanym od starości organizmem państwowym, którego jeden silniejszy szczutek liliputa japońskiego przyprawił o zawrót głowy... dziś z jego chorych, lecz potwornie olbrzymich czeluści wypełzło niezliczone mrowie narodu chińskiego, objętego gorączką patryotyczną, pogardzającego zarówno „obcymi djabłami" jak i śmiercią, gotowego iść na jej spotkanie, z tą żywiołową koniecznością szarańczy, posuwającej się wciąż naprzód, bez względu na przeszkody i na miliardy ofiar.

Ach któż nie wie jak groźną jest siła takiej masy, obojętnej na wszystko? podobną jest ona do żywiołu niszczącego, do ognia i wody, które w tym strasznym pochodzie zrywają wszystkie tamy, pochłaniając wszystko co żyje.

W grubych warstwach szarańczy — owadu, stają pociągi kolejowe, a wśród niezliczonej tłuszczy chińskiej . stanąć mogą najwaleczniejsze i najlepiej uzbrorone armie europejskie, choćby w pochodzie swym nie wahały się wytoczyć cały ocean krwi żółtej...

Wie o tem Europa, przeczuwa to wreszcie ludzkość cywilizowana i dlatego przejmujący dreszcz grozy ją wstrząsa na myśl o zwarciu się tych dwóch, biegunowo-przeciwległych mocy...

I w tem, właśnie, leży poważny szkopuł, w wykonaniu porywczo rzuconego programu politycznego, a właściwie groźby monarchy niemieckiego, gdyż bardzo być może, że łączność akcyi, w której Wilhelm II tak chętnie przyjąć by gotów dyrektywę, nie dojdzie do skutku, skoro rządy państw europejskich uznają, że lepiej będzie: polubownie, drogą wysmarowania złotem zardzewiałych zawias tak zwanych „wrót otwartych" do Chin — obecną zawieruchę uśmierzyć, a nie doprowadzać do czynów rozpaczy 400,000,000 mieszkańców państwa niebieskiego, roznamiętnionych dziś do ostatnich granic chińskim szowinizmem.

W każdym razie sztandar niemiecki nie tak prędko powiewać będzie na murach Pekinu i pytanie wielkie, czy to wogóle nastąpi?... *N. P.*

O dwie marki.

Przyszły dziejopis współczesnych stosunków społecznych w Niemczech, rozpatrując się w różnego rodzaju symptomach, oświetlających stan społeczeństwa niemieckiego, zrobi bezwątpienia jedno ciekawe spostrzeżenie, a mianowicie, zauważy on, że w miarę tego, im silniejszą presyę wywiera rząd na wszelkie podwładne mu organy wykonawcze, aby wszystkie ich funkcye zastosować do swych politycznych celów, tem częściej powtarza się w sprawozdaniach sądowych i omówieniach wyroków sądowych jeden stereotypowy frazes: *wyroków krytykować nie wolno.*

W rzeczy samej — gdy sobie uprzytomnimy, jak często w pismach, mianowicie polskich, spotykamy to zdanie: „wyroków krytykować nie wolno", mimowoli nasunie nam się spostrzeżenie, że ta formułka dziennikarska posiada głębsze społeczne znaczenie. Pojawia się ona zawsze i wszędzie, tem rzadziej, im bezstronniejsze, sprawiedliwsze, zacniejsze wyroki sądy wydają; — spotykamy ją zaś tem częściej, im mniej humanitarne, a bardziej celom politycznym odpowiadające zapadają wyroki.

Gdyby który z sędziów chciał głębiej zastanowić się nad tem, co oznaczają te słowa, umieszczane jako wstęp i zakończenie licznych artykułów dziennikarskich, — gdyby chciał wniknąć w wewnętrzny sens tej formuły: „sądów krytykować nie wolno", w której dziś opinia publiczna zamyka kwintesencyę swych poglądów na jurysdykcyę, twarz tego sędziego oblać by się musiała purpurą oburzenia. Bo cóż innego znaczą te słowa, że „wyroków krytykować nie wolno", jeśli nie tyle: *nas, reprezentantów opinii publicznej, konieczność zmusza do tego, że milczymy; ale gdyby nie to, że przymus prawny, kary więzienne, prokurator i konfiskata usta nam zamyka, krzyczelibyśmy głośno: ten i ten wyrok jest niesprawiedliwy! Wy, sędziowie, słuchaliście nie głosu sumienia, lecz podszeptów agentów politycznych! Wydając wyrok nie byliście wykonawcami idei sprawiedliwości, lecz organami władzy politycznej. Gdyby nie to, że musimy milczeć, powiedzielibyśmy wam wszystko, ale — wyroków krytykować nie wolno".*

Gdybym był sędzią, każdy taki zwrot w pismach, że wyroków krytykować nie wolno, bolałby mnie bardziej, niż najgorszy zarzut, w każdym bowiem takim wypadku myślałbym: Na ile lat więzienia za obrazę sądu musiałby pójść autor takiego artykułu, gdyby go można było ukarać za to, co on sobie *myśli* o wyroku!

W położeniu takiego człowieka, który pół swego życia przepędzić by musiał na pryczy więziennej o chlebie i wodzie, gdyby mógł być karany za swe myśli, jest nasze społeczeństwo wobec procesu Leitgebra, Melerowicza i Kolendy. Jest to bowiem jeden z tych dziś coraz częstszych procesów, pisząc o wyniku których rozpocząć trzeba słowami: Wyroków krytykować nie wolno. — —

Charakterystyczne te słowa widzieliśmy we wszystkich artykułach gazet polskich o procesie Leitgebra, a nie chcąc sami artykułu niniejszego rozpocząć pod tym samym znakiem, ograniczymy się do przytoczenia tego, co napisała niemiecka gazeta „*Hildesheimer Zeitung*" w numerze 192 z dnia 2-go lipca, w artykule naczelnym p. t. „Zdrada stanu":

„Zapadł otóż już wyrok w polskim procesie o zdradę stanu, który się toczył w Lipsku przed trybunałem Rzeszy: redaktor Witold Leitgeber został skazany na rok fortecy, a trzy miesiące pobytu w więzieniu śledczem policzono na jego korzyść. Obaj inni oskarżeni, — Kolenda i Melerowicz, krawiec i drukarz, zostali uwolnieni.

„Człowiek, który świadczył na niekorzyść oskarżonych został uznany za niewiarogodnego, a gdy obecnie po ukończeniu procesu, zapoznamy się z faktami, z których zrobiono zarzut oskarżonym, mimowoli ciśnie się uśmiech na usta.

„Oskarżeni otóż popełnili zdradę stanu w ten sposób, że starali się zjednywać zwolenników wśród towarzystwa polskiego w Dortmundzie dla skarbu narodowego w Rapperswylu w Szwajcaryi — drżyjcie Prusy!! — aż całe dwie marki, powiadamy wyraźnie, fundusz wysokości dwóch marek zebrali w tym zbrodniczym celu!

„Pan Leigeber piórem i słowem również działał na korzyść muzeum rapperświlskiego i to policzono mu za zbrodnię stanu.

„Sędziowie kierowali się mianowicie tem zapatrywaniem, że skarb narodowy dąży do odbudowania państwa polskiego przy równoczesnem oderwaniu dzielnic polskich od Prus.

„Pan Leitgeber przeczył zresztą, aby skarb dążył do tego celu, twierdząc, że celem tym jest obrona i wzmocnienie narodowości polskiej; sąd rzeszy jednak był zdania, że chodzi o plany wyzwolenia Polski, a więc i o oderwanie prowincyi polskich od Prus. — Dlatego p. Leitgeber został skazany. —

„Kto chce Polskę odbudować jako państwo niezawisłe, musi, chcąc dojść do celu — równocześnie toczyć wojnę z Niemcami, Rosyą i Austryą. Musiałby zatem ten ktoś mieć po swej stronie wszystkie państwa Europy i Ameryki, aby do swego przedsięwzięcia mieć choć iskierkę możliwości powodzenia. Takie wszystkie rzeczy naturalnie należą do rzędu bajek i fantazyi...

„Dlatego też należało lepiej wyrzeć się zamiaru wytaczania tak niewdzięcznej skargi o zdradę stanu, a tembardziej zaś dążyć do skazania *(durchzufechten)* ludzi, którym może przejściowo kiedykolwiek postałaby fantastyczna myśl podobna.

„Ta polityka drobiazgowych ukłuć rozjątrza Polaków i nazawsze odbiera im ochotę zostania dobrymi obywatelami Rzeszy niemieckiej".

Powtarzamy artykuł powyższy zupełnie na odpowiedzialność wymienionej gazety niemieckiej, zwracając równocześnie uwagę, że wywody jej trzech punktów dotyczą.

Popierwsze, artykuł gazety niemieckiej stwierdza, że oskarżenie opierało się na świadku, którego niewiarogodność tak została udowodnioną, iż go nawet nie zaprzysiężono.

Powtóre zaznacza, że za winę poczytano takie dążności, których urzyczywistnienie nie jest możliwe.

Potrzecie — a jest to najważniejsze — *Hildesheimer Zeitung* nazywa proces Leitgebra i towarzyszów „polityką drobiazgowych ukłuć“ a więc *polityką*.

Wyznanie to jest bardzo charakterystyczne we wszystkich trzech punktach.

Proces Leitgebra wykazał po raz niewiadomo już który, że w t. zw. politycznych procesach rolę pomocników policyi, względnie filarów aktu oskarżającego, odgrywają wyrzutki społeczeństwa.

Indywiduum z pod ciemnej gwiazdy, złodziej, który już odbył kilkaletnią praktykę w domu karnym, zanim się zapisał w poczet przygodnych informatorów policyi politycznej, jeden z tych ludzi, których fale życia narodowego wyrzucają gdzieś jaknajdalej na obce wybrzeże, aby w kraju nie zarażali innych swą zgnilizną moralną — oto główny świadek przeciw oskarżonym. Jedno słówko takiego pana, jedna denuncyacya, wystarczyła, aby spokojnych i pracy oddanych ludzi, mających rodziny, zaprowadzić na pół roku do więzienia śledczego, pozbawić ich możności pracy a ich rodziny oddać na pastwę głodu. Sąd ich uwalnia, ale czy im krzywdę kto wynagrodzi, jaką im wyrządziły organy policyjne, słuchając podszeptów nie jednego denuncyanta?

Takich stosunków nie można nazwać zdrowymi.

Gdy się wreszcie zważy ten marny objekt: dwie marki, które wytoczono przeciw oskarżonym jako działo największego kalibru, to trzebaby dodać te dwie marki do znanego frazesu Bismarka, aby odtąd brzmiał: My, Niemcy, nie boimy się nikogo, prócz Boga — i paru marek w polskich kieszeniach.

Za dwie marki odbudować Polskę! Widocznie jednak są ludzie, którym to niebezpieczeństwo zagrażające Prusom ze strony dwóch marek jest tak jasne, iż doprowadziło do skazania p. Leitgebra.

„Hildesheimer Zeitung“ nazwała cały proces *polityką drobiazgowych ukłuć* (Politik der Kleinlichkeiten). Nie chcąc wchodzić w kolizyę z prokuratorem, nie chcemy tu stwierdzić, o ile słusznem jest to zdanie w danym przypadku. Jest ono jednak nie bez słuszności i z ogólnego punktu widzenia. Fakt oskarżenia o zdradę stanu z powodu tych dwóch marek dowodzi niezwykłego rozdrażnienia i zdenerwowania władz. Nerwowości tej powinny się wystrzegać mianowicie organa sprawiedliwości, ponieważ źródłem jego jest zawsze tendencya polityczna, której wpływ na wymiar sprawiedliwości jest zawsze ujemny.

Jak mordercy duch zamordowanego Banka zjawiał się przy każdej sposobności, tak sferom politycznym niemieckim ukazuje się wciąż widmo niepodległej Polski. Raz wraz je widują, wszędzie spotykają jego ślady — obecnie zaś rozdrażnienie ich doszło do tego stopnia, że widzą to widmo niepodległej Polski — w owych dwóch markach!

To widmo Polski jest w nich, tak jak widmo zabitego Banka istniało tylko w wyobraźni zabójcy. My jesteśmy mniej nerwowi, ale zato pewni, że przyjdzie przecież godzina, kiedy stosunki międzynarodowe wkroczą w fazę, która wytworzy niepodległą Polskę. Ale ten daleki, daleki cel — nie będzie osiągnięty ani dwoma markami ani dwustu miljonami marek: będzie on kwintesencyą rozwoju moralnego, społecznego i ekonomicznego zarówno innych narodów jak i naszego narodu i nie będzie już na całym obszarze Rzeszy prokuratora, który by się łudził, że rozwojowi temu położy tamę owemi dwoma markami.

Vester.

Emigracya sił roboczych.

W artykuliku pt. „Brak robotników rolnych“ oświetliliśmy w poprzednim numerze smutny stan rolnictwa naszego, o ile w związku stoi ze sprawą emigracyi robotników.

Dziś szczegółowo chcemy tę ostatnią sprawę omówic.

Jak wiadomo, emigracya naszego ludu wiejskiego skierowana jest do rozmaitych miejscowości i w rozmaitych kierunkach. Najwięcej robotniczego ludu pochłania emigracya zamorska (do Ameryki, Brazylii itd.) a oprócz tego emigracya czasowa t. zw. obieżysasi, którzy specyalnie rolnemi robotami w Niemczech się trudnią.

Ale obok tego istnieje silna emigracya i do miast niemieckich, która też zabiera robotnika rolnego.

Pod tym względem wychodźców musimy podzielić na dwie grupy. Jedna — to ludzie prości, różniący się od obieżysasów tylko tem, że gdy tamci pracują na roli i wskutek tego sezonowo, ci pracują w miastach stale. Są to ludzie najpierwotniejszej pracy fizycznej, pracy muszkułów. Druga grupa — to ludzie posiadający pewną, a nieraz nawet znaczną znajomość rzemiosła.

Pierwsza grupa, liczebnie niezmiernie silna, składa się z nieokrzesanego, lecz silnego robotnika, jaki poszukiwany jest zawsze przy budowach domów, przy zakładaniu rur wodociągowych i gazowych, przy brukowaniu ulic i trzymaniu ich w czystości.

Tysiące takich robotników napotkać można np. w Berlinie. Stojąc na bardzo niskim stopniu umysłowego rozwoju niezmiernie łatwo się zgermanizują, a raczej — gdyż język tu decyduje, gdzie nawet uświadomienia narodowości niema — po kilkomiesięcznym już pobycie na obczyźnie przestają mówić po polsku nie nauczywszy się nawet jeszcze po niemiecku. Gazet polskich nie czytują, bo czytać nie potrafią, na kazania polskie nie chodzą, bo całą niedzielę śpią. Na posiedzenia żadnych towarzystw polskich nie uczęszczają, bo nikt im ich nie wskaże. Przyjechali wraz z agentem, który ich zdał w ręce przedsiębiorcy lub majstra i znajomości ich nie przekraczają granicy nakreślonej bezpośredniemi stosunkami z zatrudnionymi przy tej samej budowli ludźmi.

W większości wypadków można ich uważać za zupełnie straconych. Do kraju nie wracają — wsiąkają oni gdzieś bez śladu w krew i nerwy wielkiego miasta, a jeśli który się kiedy dorobi majątku — to o kraju nie myśli. Kraj mu nic nie dał, nie ma prawa do wdzięczności z jego strony, w nic go na drogę

nie zaopatrzył — więc też musi się pogodzić z jego stratą i patrzeć, jak się staje nawet najzagorzalszym patryotą niemieckim. Takich jest w Berlinie dużo.

Do innej zupełnie grupy, zaliczyć należy rzemieślników i robotników o pewnych zawodowych kwalifikacyach. Abonują oni pisma polskie, łączą się w towarzystwa o wyraźnie narodowym charakterze a niejeden z nich dopiero na obczyźnie staje się prawdziwym patryotą i w przywiązaniu do kraju znajduje podnietę do zdwojonej pracy, któraby umożliwiła mu powrót do kraju.

Lecz jeśli dzięki silnie rozwiniętemu poczuciu narodowemu nie przestają oni sami być Polakami aż do końca życia, choćby na obczyźnie kości złożyć mieli — to zato drugie pokolenie, wychowane wśród otoczenia niemieckiego już traci cechy narodowe. A wpływy otoczenia tego są nieraz tak silne, że widywałem w Berlinie, w Szpandawie, we Frankfurcie nad Odrą, w Lipsku lub Szczecinie — wychodźców z Poznańskiego, szczerych patryotów, którzy umieli na pamięć „Pana Tadeusza“, którzy czytywali gazety polskie i do polskich towarzystw uczęszczali, a których dzieci pomimo to były zniemczone. Niestety!

Ojciec musi np. jako przykrawacz krawiecki stać cały dzień w warsztacie a dzieci znajdują się pół dnia w szkole — parę godzin na ulicy. Każdy z takich ludzi liczy na to, że warunki pozwolą mu kiedyś na powrót do kraju. I niejeden istotnie wraca — a wtedy staje się najpożyteczniejszym członkiem społeczeństwa. Pochodzeniem i zawodem związany z rzemieślniczą lub drobno mieszczańską warstwą ludności, dzięki długoletniemu pobytowi w świecie zachodnim, mający szeroki pogląd na życie, fanatycznie miłujący kraj ojczysty — człowiek taki staje się najlepszym i najdzielniejszym przewodnikiem całej warstwy ludności i organizuje ją w krótkim czasie zawodowo i towarzysko. Dodać też należy, że i zawodowe kwalifikacye zagranicą na praktyce zebrane z czasem dla kraju przydać się mogą.

Lecz jednostki — jakkolwiek wiele by zrobić były w stanie — zrównoważyć wszystkich szkód, jakie kraj ponosi przez emigracyę, nigdy nie mogą.

Dotknąć tu wreszcie muszę jeszcze jednego rodzaju emigracyi: emigracya inteligencyi. Liczebnie nie wiele ona zaważy, ale jakościowo jest bardzo ważną.

Znaczny procent młodzieży kończącej w Niemczech wyższe zakłady naukowe pozostaje na emigracyi na stałe. Dawniej synowie właścicieli ziemskich wracali pod strzechę rodzinną aby orać „rura paterna“ — dziś gdy wobec zmiany warunków ekonomicznych trzeba ryzyka i zrezygnowania z wysokich tonów, aby poświęcić się gospodarstwu, bardzo wiele młodzieży szuka chleba w karyerze prawniczej, lekarskiej, inżynierskiej.

A że w kraju prawnik, zwłaszcza na polu administracyjnem, nie może liczyć na stanowisko, a że ukończony elektrotechnik, inżynier itd. o ile nie ma kapitałów dla założenia przedsiębiorstwa na własną rękę posady nie znajdzie — więc też pełno inżynierów, elektrotechników, budowniczych i sędziów w Niemczech.

Z tego pobieżnego poglądu ocenić możemy olbrzymią społeczną i narodową doniosłość wychodźtwa do Niemiec. Ona też stanowi jeden niejako fundamentalny filar, na którym opiera się rachuba rządu pruskiego wobec Polaków.

Wytyczną polityki tej jest takie manewrowanie politycznemi i ekonomicznemi środkami — aby Polaków ekonomicznie zamalganować i połknąć. Do tego celu prowadzi:

Przyspieszenie upadku większej własności, zapomocą niedopuszczania robotnika z Galicyi i z Królestwa zapomocą wszelkiego rodzaju trudności np. w handlu nierogacizną, zapomocą polityki celnej-zbożowej i taryf na wełnę, dzięki którym upadła w Poznańskiem hodowla owiec.

Rząd pruski trwa w przekonaniu, że uregulowaniu sprawy polskiej podług jego życzeń staje na przeszkodzie klasa inteligentna, która przeważnie składa się z właścicieli ziemskich i duchowieństwa, którego wpływy ogarniają prosty lud.

W siłę mieszczaństwa polskiego, zresztą bardzo jeszcze niewyrobionego, rząd nie wierzy, z nią się nie liczy i sądzi, że po usunięciu dwóch powyższych głównych przeszkód, trzy czynniki, mianowicie: szkoła pruska, emigracya w głąb Niemiec i wspólność interesów ekonomicznych dokonają dzieła germanizacyi.

I bezwątpienia dokonałyby, o ile by lud prosty nasz w porę się nie ocknął i jako nowy żołnierz nie stanął w szrankach do boju.

Ostatecznie cała walka z germanizacyą, od której zależeć będzie rezultat wiekowego zatargu naszego ze światem germańskim, u jednego tylko szańca się rozegra, — którym jest *nasz lud.* Od tego szańca odbić się mogą i odbiją się też wszelkie ataki.

Do tego rezultatu prowadzi nas nietylko rozważanie polityczno-społecznej, ale i ekonomicznej sytuacyi naszej. Widzimy, że ze wszystkimi stanami, ze wszystkiemi przeszkodami, które mu kładziemy na drodze, rząd pruski uporać się może; ale czy zdoła uporać się z naszym ludem?

I niechajże więc lud nasz zawsze pamięta o tem, jakich nadziei jest przedstawicielem i niech w chwili stanowczej powie germanizatorom: Precz!

K. R.

Mikołaj Kopernik

skreślił

Żygmunt Słupski.

II.

Pochodzenie Kopernika.

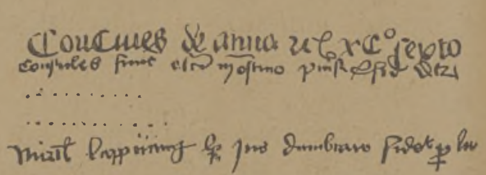
Już samo brzmienie jego nazwiska dostatecznie wskazuje pochodzenie słowiańskie a w szczególności polskie. I dziś jeszcze na ziemiach słowiańszczyzny spotykamy podobne nazwy miejsc i ludzi, zwłaszcza w Polsce i Czechach.

W W. Ks. Poznańskiem, w Sierakowie, w aktach bractwa św. Anny, z połowy zeszłego wieku, zapisany Marcin Kopernik; a i obecnie jeszcze tam żyje kilku mieszczan tego nazwiska. Tak samo w Pabianicach pod Sieradzem, mieszkają Kopernicy; a w Rakowicach pod Krakowem, żyje wyrobnik Piotr.

Niektórzy utrzymują, że rodzina Mikołaja z Czech do Polski przybyła, a mianowicie z miasteczka Koprnik, ale domysł ten nie ma dostatecznej podstawy. Prawdopodobniejszem natomiast przypuszczenie, że pierwotnem jej gniazdem była osada Kopernik na Ślązku.

Ale ani jedno ani drugie nie daje się stwierdzić. Pewniejsze ślady jej pochodzenia, spotykamy dopiero 1396 w Krakowie, gdzie już w tym czasie stale Kopernicy byli osiedleni.

Stwierdza to znajdujący się w aktach miejskich Krakowa dokument, z którego odnośny ustęp w wiernej kopii (facsimile) tu podajemy.



Jeden z tego rodu, także Mikołaj, powroźnik, przeniósł się do Lwowa 1439; o innym zaś, Piotrze, jest mowa w sądowych aktach Olkusza z 1409 r. W archiwach zaś miasta Torunia natrafiamy na ślad, jako w r. 1463, Mikołaj (ale inny) przybył z Krakowa i obywatelem toruńskim został, a nawet piastował tam urząd radnego miasta aż do śmierci.

Fakt przesiedlenia się z Krakowa, przyznaje nawet historyk niemiecki Zernecke i inni bezstronni uczeni. Ale są też i tacy, którzy temu zaprzeczają; a natomiast, wbrew oczywistym dowodom, twierdzą, jakoby to była zdawna w Toruniu osiadła rodzina Czerperników; i na tak kruchej podstawie, robią naszego astronoma Niemcem.

Tymczasem żadnej nie ulega wątpliwości, że tak nie było. Ale gdybyśmy nawet przypuścili jakieś węzły krwi z owymi Czepernikami, to i to również by jeszcze nie przechylało sporu na stronę niemiecką.

Wiadomo przecie, że Toruń od niepamiętnych czasów był miastem polskiem. Ściągało doń wprawdzie wielu Niemców; ależ tak samo ciągnęli i do Krakowa i do wielu innych przedniejszych grodów naszych. Polacy bowiem, sami wolni i w wolności zamiłowani, nie skąpili jej również i przybyszom. Ba, nawet zawiele jej dawali, nawet ze swoją szkodą. Pozwalano im np. rządzić się ich własnemi prawami, co przecie nie mogło być dla kraju z korzyścią; żadne też inne państwo nigdy by nikomu na coś podobnego nie pozwoliło.

Był to może błąd polityczny, ale błąd, który też i dobre miał strony. Przybysze bowiem, z powodu właśnie tej wolności, jaką im na ziemiach Polski dawano, tem prędzej stawali się dobrymi jej obywatelami. Powiedzieć nawet można, że cały ten żywioł napływowy, tem prędzej i ściślej łączył się z miejscowym, zgoła zapominając o swej dawnej ojczyźnie; bo nic tak szybko nie wynaradawia, jak właśnie niewynaradawianie. (Ztąd to mamy dziś tyle rodzin polskich z niemieckiem lub z niemieckiego przerobionem nazwiskiem).

A że i mieszkańcy Torunia nie stanowili pod tym względem wyjątku, najlepszym tego dowodem, ich nigdy niezachwiana wierność względem króla i rzeczypospolitej. Kiedy np. pruski generał Schwerin stanął pod ich murami, sami gotowi byli miasta bronić przeciw najazdowi, i Schwerin tylko podstępem je zajął, dopiero d. 24 stycznia 1793 roku. A kiedy znów po kilkunastu latach zostało Prusakom odebrane i do Ks. warszawskiego przyłączone, z jakąż radością ludność tę zmianę przyjęła!

Może jednak rodzina Czeperników wyjątkowo zachowała swój niemiecki charakter, co nie zdaje się prawdopodobnem. Ale przypuściwszy, że tak było; przypuściwszy nawet jej domniemaną tożsamość z rodem Kopernika — to jeszcze nic zgoła nie mówi o jego narodowości. W tej sprawie on sam tylko rozstrzyga.

Pomijając już fakt niezaprzeczony, że się na ziemi polskiej i z Polki urodził, wystarczy przypomnieć jego własne oświadczenia i jego postępowanie wobec Niemców, które w dalszym ciągu poznamy.

Mówią wprawdzie, że niemiecki był jego domowym językiem, ale na to żadnych nie ma dowodów. Są, co prawda, jego listy po niemiecku pisane; ale ztąd przecie nie można jeszcze nic wnosić o jego narodowości.

Może to wypływać po prostu z braku zastanowienia, a choćby nawet z braku patryotyzmu; ale żeby każdy mówiący po niemiecku, koniecznie tem samem już musiał być Niemcem, na to niepodobna się zgodzić.

Ileż to i dziś nieraz dla wygody posługuje się niemczyzną, a nikomu ztąd chyba ani do głowy nie przyjdzie uważać ich za Niemców. Prawda, że często dzieci w szkole pod lada pozorem do Niemców zaliczają, i to nawet mimo protestu z ich strony, jak również protestu rodziców — ale taka pruska metoda klasyfikowania, poważnie braną być nie może i w nauce żadnego nie ma znaczenia, bo tam wszelka przemoc ustaje.

Zresztą, do czasu Kochanowskiego i Reya, piękny nasz język, w zupełnem, rzec można, był zaniedbaniu. Naród bowiem z zapewnionym bytem i wolnością, nie potrzebował się o niego tak bardzo troszczyć jak my dziś. Można więc bez grzechu przypuścić, że ktoś, zwłaszcza uczony, mógł naówczas używać obcego języka; ale aby ztąd już o jego narodowości wnioskować, to trochę zaśmiałe dowodzenie, godne jakiegoś inspektora pruskiej szkoły, choćby nawet i samego ministra, ale nigdy uczonego.

A jednak, mimo to wszystko, mimo całej prawdy, jaka jest po naszej stronie, trudno zaprzeczyć, że z wyjątkiem może uczonych, cały nieomal świat, jeszcze dziś ma naszego astronoma za Niemca, a nawet tu i owdzie w szkołach tak nauczają.

Upowszechnienie tego fałszu, wielce ułatwiła ta okoliczność, że nasz język po za granice Polski prawie nie sięga, a ztąd nie wielki skutek prostowania błędu.

W dodatku i sama nazwa prowincyi, w której się Kopernik urodził, także utwierdza obcych w tem mniemaniu. Mało kto bowiem rozumie różnicę między dzisiejszem Królestwem pruskiem a Prusami, dawną prowincyą polską — biorąc więc jedno za drugie, wierzą, że Kopernik Niemiec.

Wobec tego, nie od rzeczy tu będzie choć paru słowy tę różnicę przypomnieć. Może się to w rozmowie z obcymi przyda, bo zawsze im przy każdej sposobności takie rzeczy wyjaśniać należy.

Otóż Polacy, dla zabezpieczenia swej północno-wschodniej granicy przeciw pogańskim jeszcze Litwinom jako też ich pobratymcom Prusakom, 1228 r. zapraszają Krzyżaków, i oddają im w posiadanie najpierw jeden tylko zamek a później całą prowincyą, z przyrzeczeniem w dodatku, że wszystko, co sobie sami na Prusakach zdobędą, także do nich należeć będzie, pod warunkiem jednak obrony granic Polski od ich napadów.

Wkrótce atoli ci sami, tak hojnie obdarowani Krzyżacy, ze sprzymierzeńca zmieniają się w zaciętego, największego wroga swej gościnnej dobrodziejki; wroga tem sroższego, im bardziej z czasem w pierze porastać zaczęli. Niebawem też ich potęga groźną się stała już nietylko dla samych Prusaków i Litwy, ale także i dla Polski.

Tymczasem Litwa, nie widząc innego ratunku wobec tej niemieckiej nawały, szuka oparcia w tej samej Polsce, z którą od wieków walczyła. Polska również przerażona wzrostem krzyżackiej potęgi, mimo wstrętu do związków z poganami, zgadza się na związek.

Krzyżakom to bardzo nie na rękę było, starali się też wszelkimi sposobami, aby do połączenia zamierzonego nie dopuścić; lecz mimo ich rozmaitych intryg, wielki książę litewski, Jagiełło, przyjmuje chrzest, żeni się z królową polską Jadwigą i oba narody wieczną unią łączy pod jednem berłem.

W ten sposób Krzyżacy utracili tytuł do najazdów na Litwę. Dotychczas tępili pogan pod pozorem nawracania; a teraz, gdy już nie było kogo nawracać, dopiero się jasno pokazało, że im nie o to, lecz o zwykłą grabież chodziło, bo po dawnemu wciąż wrogo występowali.

Dopiero po klęsce pod Grunwaldem 1410 r. przestali być nareszcie groźnym sąsiadem.

Teraz i Prusy, uprzykrzywszy sobie niemieckie jarzmo, wolały się poddać Polsce 1454 r.

Z tego powodu wynikła wojna, ale Krzyżacy znów pokonani, musieli 1466 r. uznać nad sobą zwierzchnictwo Polski, i pozostawić w jej posiadaniu t. z. Prusy królewskie.

W 1498 r. obrany został wielkim mistrzem krzyżackim Fryderyk ks. saski, a po nim Albrecht margrabia brandenburski. Ten niechcąc złożyć należnego królowi polskiemu hołdu, rozpoczyna wojnę; lecz zwyciężony, przybył do Krakowa, zrzeka się urzędu w. mistrza i uznany zostaje lennym księciem pruskim, ze stolicą w Królewcu. Wkrótce jednak, bo 1526, porzuca katolicyzm, a szczątki rozwiązanego zakonu, rozpierzchły się po świecie.

Zależność tej części Prus od Polski, trwała do końca XVII wieku; a dopiero w 1701 roku Fryderyk III, to księztwo i Brandenburg ogłosił jako udzielne Królestwo pruskie ze stolicą Berlinem. Królewcowi już tylko pozostał przywilej, że tam się dopełnia akt koronacyjny.

Co zaś do kolebki Kopernika, t. z. Prus Zachodnich, to te, wraz z Toruniem i Gdańskiem, aż do ostatniego rozbioru przy Polsce zostały, a prastara ich nazwa, jak widzimy, nic nie ma wspólnego z nową, przywłaszczoną nazwą dzisiajszego królestwa.

Ale wróćmy do rodu astronoma.

Otóż ów krakowski, w Toruniu osiedlony Mikołaj, żeni się z Barbarą Weiselrode, córką Łukasza, radnego miasta i dziedzica poblizkiego Sławkowa, Polaka, ożenionego z Katarzyną Modlibóg.

Chociaż się ten Mikołaj z Krakowa wyniósł, stosunków z nim jednak nie zerwał, lecz owszem, nawet dość często go odwiedza. Zapisał się nawet z całą swą rodziną do bractwa tercyarzy przy tamtejszym klasztorze Dominikanów założonego. Są dowody jego bytności w stolicy 1470, 1573 i 1476 r. — A więc po raz ostatni był tam na krótko przed śmiercią, która nastąpiła w r. 1483.

Ten to właśnie Krakowianin, był ojcem astronoma i drugiego syna Andrzeja. Miał również dwie córki, z których jedna Barbara, została ksienią zakonu w Chełmnie; a druga, Katarzyna, wyszła za mąż do Krakowa, za tamtejszego obywatela Gertnera.

Po tej Gertnerowej tylko mogli zostać w prostej linii potomkowie Mikołaja, bo jak zobaczymy, obaj jego synowie, księżmi zostali. Wszyscy więc późniejsi Kopernicy mogą ród wywodzić tylko od Mikołaja powroźnika, albo wzmiankowanego już Piotra i innych bocznych linii.

Chiny otwierają się...

II.

Kwestya protektoratu nad misyami katolickiemi. — Nowy kurs w polityce niemieckiej. — Niemcy szukają oparcia na katolicyzmie. — Ostatnie powodzenia Francyi w Chinach.

Wspomnieliśmy poprzednio, że Niemcy po wojnie chińsko-japońskiej wyszły z pustemi rękami. Wkrótce nastręczyła się sposobność powetowania tej porażki: znaleziono ją w zamordowaniu dwu misyonarzy niemieckich i zajęto Kiao-czau, ważny punkt nadmorski w prowincyi Szan-tung.

Sprawa Kiao-czau wiąże się ściśle z planami Niemiec objęcia protektoratu nad misyonarzami całego Wschodu. Kwestya zaś protektoratu nad misyami katolickiemi jest jednym z czynników „kwestyi dalekiego Wschodu", i dlatego zasługuje na pilniejszą uwagę.

Niemcy przedstawiają potęgę militarną, przedstawiają również potęgę ekonomiczną, wkrótce będą potęgą morską. Lecz potrzebują wsparcia moralnego, na arenie światowej pragną reprezentować *ideę*. To stworzyć na podstawie protektoratu chrześciańśtwa protestanckiego i katolickiego, połączyć rozpierzchłe ośrodki germanizmu podwójną opieką religijną, posiąść na świecie klientelę jednocześnie religijną i ekonomiczną, która będzie rozpowszechniała idee niemieckie, kupowała wytwory niemieckie.

Oto są zasady kierownicze polityki cesarza Wilhelma II-go po za Europą. Katolicyzm ze swemi dogmatami, hierarchią, czuwającemi wszędzie misyonarzami, jest bezwątpienia jedną z najpotężniejszych mocy, dążących do kierowania światem. Połączyć jego moc duchową z siłami materyalnemi państwa niemieckiego — co za marzenie!

Wiadomo, że „Kulturkampf" przyprowadził Bismarcka do Canossy. Wilhelm II poszedł temi śladami, a w Watykanie znalazło się stronnictwo, popierające plany cesarza. Szczególnie gorliwym poplecznikiem okazał się kardynał Ledóchowski, który w epoce walki kulturnej był stanowczym przeciwnikiem Niemiec, lecz później zmienił swe postępowanie przez nieufność do innych państw europejskich. Kardynał, jako prefekt Propagandy, a więc jakby „minister kolonii katolickich", posiadał opinię niemal decydującą w sprawach, o które Wilhelm II zamierzał wszcząć walkę. Rozpoczęto żywą działalność około obalenia protektoratu francuskiego nad katolikami całego Wschodu między innemi i w Chinach, gdzie Francya dzierżyła protektorat od czasu traktatu w Wampoa z r. 1844, potwierdzonego w r. 1858 i w r. 1860.

Po raz pierwszy prawa Francyi w Chinach zostały otwarcie naruszone w r. 1886. Z powodu pewnego zatargu misyonarzy francuskich w Pekinie z władzami miejscowemi Anglia podszepnęła rządowi chińskiemu myśl wejścia w stosunki bezpośrednie ze Stolicą Apostolską i utworzenia nuncyatury w Pekinie. Tylko zręczności i energii ambasadora francuskiego przy Watykanie, hr. Edwarda Lefebre'a de Behaine'a, zawdzięcza rząd rzeczypospolitej, że myśl ta, odpowiadająca zarówno chęciom rządu chińskiego, jak Papieża, i wsparta przez wrogie Francyi Niemcy, Włochy i Austryę, została zaniechana, a raczej odłożona. Dzisiaj bowiem ewentualność przysłania delegata papieskiego do Pekinu ciągle trwoży Francyę, która do przywileju protektoratu słusznie wielką przywiązuje wagę.

Wkrótce po tych wypadkach, w roku 1887, przybył do Rzymu mgr. Anzer, wikary apostolski w Szang-tungu południowym, aby protestować przeciw protektoratowi francuskiemu nad katolikami niemieckimi. Z Rzymu skierował się do Berlina. Tutaj rozmawiał dużo z księciem Bismarckiem, który przyobiecał całe poparcie rządu niemieckiego. Na tej zasadzie, po powrocie swym do Chin, poddał wikaryat szang-tuński pod protektorat rządu berlińskiego. W ten sposób zrobiony został pierwszy wyłom w przywilejach Francyi. Skutek tego kroku mgr. Anzer'a był olbrzymi.

Kiedy wieść o morderstwie misyonarzy niemieckich w Jen-czu w r. 1897 nadeszła do Berlina, mgr. Anzer przybiegł do pałacu królewskiego. Wilhelm II obiecał mu pomszczenie ofiar, a już w 14 dni po dokonaniu zabójstwa admirał Diederichs wylądował w Kiao-czau i zajął je bez oporu. Traktat pekiński z 6 marca 1898 roku odstąpił Niemcom „na przeciąg 99 lat zatokę „Kiao-czau, gubernator w Szangtungu został odwołany, 3000 taelów indemnizacyi wypłacone, 3 kaplice pobudowane. Nadto Niemcy otrzymały koncesye na dwie koleje w Szangtungu i prawo eksploatacyi pewnych kopalni. Gdyby był istniał protektorat francuski w tej prowincyi, Niemcy nie miałyby okazyi do interwencyi zbrojnej.

Wilhelm II szybko dyskontował swe powodzenie. Kiedy książę Henryk pobiegł reprezentować w Pekinie blask monarchii niemieckiej, mgr. Anzer ponownie prosił Watykan o sankcyę nowego porządku rzeczy, telegramy zaś arcybiskupów Stablewskiego i Kopp'a wzmocniły nowy katolicki kurs cesarski.

W następnym roku mgr. Kopp nalegał na potwierdzenie, a niewątpliwie i na rozszerzenie protektoratu niemieckiego w Chinach. Wszakże, jak doniósł „Deutsche Revue", wzrost wpływów niemieckich nie podobał się Ojcu Świętemu ze względu na Francyę. Leon XIII, zarówno jak i kardynał Rampolla, odrzucił projekt mrg. Anzer'a i kardynała Kopp'a. Mimo wszystko raz rozpoczęty „kurs misyjny" Wilhelma II posuwał się ciągle naprzód. Wszyscy zapewne mają w pamięci niedawną podróż cesarza do Jerozolimy i zamiar jego proklamowania protektoratu niemieckiego nad katolikami Wschodu. Papież wszakże nietylko nie osłabił przywilejów Francyi, ale je nawet wzmocnił nowemi dekretami.

Kwestya protektoratu na dalekim Wschodzie, zarówno jak na Wschodzie, posiada dwa oblicza: polityczne i religijne. Opanować je — jest to wziąść do ręki narzędzie niesłychanego znaczenia. To też Anglia i Austrya, Włochy i Belgia pomagają Niemcom w tem podważaniu starych praw Francyi, w nadziei otrzymania po niej spuścizny. Lecz tylko Niemcy prowadzą świadomą i konsekwentną politykę. Mocno oparte w Chinach przez powagę swych interesów ekonomicznych i doskonałość pozycyi w Kiao-czau, Niemcy, objąwszy dziedzictwo francuskie, uwieńczyłyby swą potęgę materyalną olbrzymią potęgą moralną. Wilhelm II zdobył sobie sławę Karola Wielkiego, Ludwika Świętego, Franciszka I, Richelieu'go Ludwika XIV i Napoleona I. Lecz trzecia Rzeczpospolita czuwa.

Dekret rządu chińskiego z 15 marca 1899 roku uznaje, że religia katolicka jest rozprzestrzeniona we wszystkich prowincyach Chin; żeby uprzedzić starcia i zapewnić dobre stosunki między ludnością a chrześcianami, dekret określa regulamin stosunków władz miejscowych z misyonarzami. Dostojnicy kościoła katolickiego otrzymali rangi zbliżone do mandaryńskich, biskupi zostali uznani za równych „rangą i godnością wicekrólom i gubernatorom", księża za równych odpowiednim urzędnikom niższym itd. Jest to do pewnego stopnia urzędowe uznanie katolizmu w państwie, co ze względu na ducha formalistycznego Chińczyków ma niepospolite znaczenie. Zaznaczyć należy, że dekret używa terminu ogólnego „chrześcianie", który domyślnie zawiera w sobie i chrześciantuziemców. Z tego powodu od aktu z 15 marca 1899 r. spodziewano się skutków olbrzymich. „Być może — mówią nasi autorzy — w przyszłości okres ten będzie stanowił jedną z wielkich dat w dziejach ludzkości. W każdym razie był on tryumfem dyplomacyi francuskiej. W wypadkach szczególnych zawikłań „zaszłych w którejkolwiek prowincyi — jest brzmienie dekretu — biskup i misyonarze miejscowi obowiązani są zażądać interwencyi od mocarstwa, któremu Ojciec Ś-ty powierzył protektorat religijny." Mocarstwo wprawdzie nie zostało wyszczegól-

nione, nie może jednak być wątpliwości, że mowa tu o Francyi, tembardziej, że brutalne zajęcie Kiao-czau przez Niemcy głęboko dotknęło rząd chiński.

Cokolwiekbądź mocarstwa przedsięwezmą po obecnych wybuchach chińskich, w każdym razie walka o protektorat nie ustanie. Przeciwnie, ona rozpalać się będzie tem jaskrawiej, im skuteczniej propaganda katolicka pocznie działać wśród żywiołów miejscowych. Dlatego też publicyści i politycy francuscy nie zaniedbują żadnej sposobności, żeby nie przypominać o niej rządowi.

B. Koskowski.

Z TYGODNIA.

Wiadomość o dotarciu zjednoczonych wojsk europejskich do Pekinu i oswobodzeniu poselstw nie potwierdziła się dotąd. Wogóle stan rzeczy w stolicy państwa chińskiego jest zupełnie nieznany. Najświeższe wiadomości pochodzą z przed tygodnia, a są nadto urywkowe i niepewne. Wątpliwości nie ulega tylko śmierć ambasadora niemieckiego; zresztą nawet okoliczności, w których został zamordowany, nie są wyjaśnione. Ketteler udał się pod osłoną kilku majtków na konferencyą posłów zagranicznych i na drodze został zamordowany. Posłowie inni dowiedziawszy się o jego śmierci, nie poszli na konferencyą i tylko tej okoliczności zawdzięczają swe ocalenie. „Daily Express“ natomiast dowiaduje się, że ks. Tuan zaprosił wszystkich posłów zagranicznych do Tsung-li-Yamenu na wspólną naradę, aby wywabić ich z mieszkań i oddać na pastwę fanatycznego tłumu. Posłowie obawiając się zasadzki, nie stawili się, tylko Ketteler udał się na konferencyą. Przed Tsung-li-Yamenem uderzył na niego tłum żołnierzy chińskich. Dano do niego cztery strzały, a następnie Chińczycy porąbali go na sztuki.

O zamordowaniu bar. Kettelera donoszą jeszcze z Berlina: Ketteler urzędował poprzednio przed swym pobytem w Waszyngtonie i w Meksyku, szesnaście lat w Pekinie jako tłómacz wraz z prof. Arndtem u boku posła von Brandta. Władał językiem chińskim zupełnie biegle. I właśnie dlatego koledzy wyprawili go do Tsung li-Yamenu, by tam poczynił remonstracye przeciwko napaściom motłochu na poselstwo.

Żołnierzy, którzy towarzyszyli Kettelerowi, kilku raniono. Zamordowawszy posła niemieckiego, żołnierze chińscy przypuścili szturm do innych poselstw i zburzyli je z wyjątkiem niemieckiego, angielskiego i włoskiego. Goniec, wysłany przed tygodniem z Pekinu, donosi, że wszystkie poselstwa były oblężone i znajdowały się w najwyższem niebezpieczeństwie. Wystrzelano już wszystką amunicyę, a zapasy żywności były wyczerpane. Zamknięte w poselstwach kobiety umierały z głodu. Goniec powątpiewa, czy poselstwa mogły się utrzymać dotąd. Tenże posłaniec donosi, że ks. Tuan kazał publicznie ściąć wszystkie straże legacyjne.

Pisma londyńskie donoszą, że równocześnie z bar. Ketteler'em zabito jeszcze dwóch innych posłów. Z wiadomością tą zgadzałaby się obiegająca po Paryżu pogłoska, o zamordowaniu posłów francuskiego i angielskiego. Urzędowo nie potwierdzono jej dotąd. Dość powszechne panuje przekonanie, że z Europejczyków, którzy w chwili wybuchu rozruchów znajdowali się w Pekinie żaden już nie żyje. Było ich około 250, przeważnie urzędników przy poselstwach, misyonarzy i urzędników celnych.

Pomimo wszelkich zastrzeżeń, czynionych przez dyplomacyę europejską, faktycznie toczy się więc formalna wojna z Chinami. Wojska międzynarodowe poniosły już tyle strat, nie licząc setek niewinnie pomordowanych chrześcian, że dziś nie można mówić o wstrzymaniu akcyi zmierzającej do uregulowania stosunków chińskich w ten sposób, aby podobne wydarzenia do dzisiejszych powtórzyć się już nie mogły. Za wojną otwarcie przemawiał już cesarz Wilhelm, wysyłając oddział niemiecki do Chin, jeżeli zaś sprawdzą się pogłoski o zamordowaniu i innych posłów, odezwie się zapewne więcej podobnych głosów. Mocarstwa postępują dotychczas zgodnie, stawiając za swój cel „status quo“ z odpowiednią tylko organizacyą wewnętrzną i — protektoratem. Wogóle w Chinach zanosi się na rewolucyę wewnętrzną, ponieważ widoczne jest ścieranie się dwóch prądów: postępowego i konserwatywnego. Dla dobra Chin życzyćby należało, aby postępowcy zwyciężyli. Na to istotnie się zanosi, tylko trudności urośnie niemało, gdy mocarstwa zaczną zakreślać „sfery swojego wpływu“ i ustanawiać protektorat.

Rząd chiński wydał imieniem cesarzowej edykt, powołujący wszystkie wojska z Chin południowych ku obronie Pekinu. Li-Hung-Czang uciekł podobno z Kantonu w stronę Tientsinu. Droga żelazna z Tientsinu do Pekinu zupełnie zniszczona. Połączenie pomiędzy Tientsinem i Taku zagrożone; komunikacya odbywa się jedynie wodą, lecz nie jest pewna. W Mukden sekciarze spalili misyę i wyrżnęli chrześcian chińskich; misyonarze ratowali się ucieczką do Niuczwang.

Zdobycie fortów w Taku dowiodło Chińczykom ich nieskończoną niższość i niedołęztwo wojenne wobec wojsk europejskich, pociąga jeszcze i ten dobry skutek za sobą, że ujście Peiha zostało raz na zawsze otwarte, a niebezpieczeństwo izolowania operujących w głębi lądu wojsk europejskich od eskadry międzynarodowej zupełnie usunięte, tak, że dowóz prowiantu i amunicyi korpusowi europejskiemu, znajdującemu się obecnie w Tientsinie może się bez przeszkód odbywać albo za pomocą kolei, albo też statkami, które Peihem aż do Tientsinu dochodzą.

Zresztą forty te mniejszą w rzeczywistości stanowią przeszkodę w komunikacyi, niż ogromne wały piasku, zamykające ujścia Peiha tak, że pozostaje tylko do przejazdu okrętów wązki kanał, na 10 do 12 stóp głęboki. Forty same nie są sypane z ziemi, ale z namułu, żwiru i piasku rzecznego. W telegramach mówi się ciągle o siemnastu fortach, podczas kiedy rozmaici pisarze, którzy niedawno odbywali podróż do Pekinu, wspominają tylko o sześciu fortach. Zostały one zbudowane zaraz po ostatniej wojnie z Japonią przez pruskich oficerów i uzbrojone we wielkie armaty Kruppa najnowszego systemu.

Obwałowania jednak fortów, leżące na ruchomej piaszczystej podstawie, w dodatku zupełnie zaniedbane od czasu ich usypania, pousuwały się, pociągając za sobą ciężkie działa, które nie ustawione na twardych i głęboko wpuszczonych w ziemię fundamentach, pozapadały się w namuł i piasek. Międzynarodowa więc eskadra nie bardzo musiała się wysilać, aby chińską „twierdzę“ zmusić do milczenia, tembardziej, że wszyskie prawie europejskie okręty wojenne, znajdujące się na wschodnio-azyatyckich wodach, są bardzo silne i liczne. Niemcy mają ich 8, Anglia 12, Rosya 14. Floty francuska, amerykańska i japońska są również bardzo silne.

Tylko jedna Austrya ma w tamtych okolicach jedyny okręt wojenny „Zeutę“, co pozwala się spodziewać, że państwa zjednoczone w wspólnej akcyi przeciw Chinom, w niedalekiej już przyszłości zażądają od Austro-Węgier, aby także więcej okrętów wojennych na wody chińskie wysłała. W bombardowaniu fortów wzięło udział nie więcej, jak dwanaście okrętów wojennych. Dzisiaj o skutkach jego nie można jeszcze bez zastrzeżeń mówić, to jednak jest pewne, że rozpoczęło ono łańcuch wypadków, które szybciej będą po sobie postępowały, niż się jakiemukolwiek dyplomacie europejskiemu śniło.

K. O.

PRZEGLĄD PRASY.

Berlińska „Germania“ puściła pogłoskę, że kapituła lwowska postawiła na liście kandydatów na osierocony tron arcybiskupi — X. Biskupa Likowskiego. Wieść ta wzbudziła prawdziwy żal i smutek w naszej archidyecezyi, wiemy bowiem, cobyśmy w X. Biskupie Likowskim stracili za męża, poświęconego jedynie dobru społeczeństwa, którego jest pasterzem. Pogłoskę powyższą łączono z wizytą, jaką cesarz austryacki podczas pobytu swego w Berlinie złożył kardynałowi Koppowi. Kardynał Kopp miał użyć swego wpływu w tym celu, aby cesarzowi podsunąć myśl mianowania X. Biskupa Likowskiego arcybiskupem, cesarz austryacki i król bawarski mają bowiem nadane od stolicy apostolskiej prawo nominowania arcybiskupów. Księdzu Koppowi naturalnie chodziło przy tej sposobności o to, aby wysadzić z siodła i usunąć z zaboru pruskiego biskupa-Polaka, o którego stałość i prawość rozbijały się już nieraz zamiary germanizatorów. Jaką decyzyę powziął cesarz Franciszek Józef — tego naturalnie przewidzieć nie można, niektóre pisma jednak, między innemi **„Gazeta Toruńska“** zapewniają, że X. Biskup Likowski nie przyjął by zaofiarowanego mu arcybiskupstwa lwowskiego, aby nie ogołocić stokroć ważniejszego posterunku w naszej dzielnicy:

„Kto, jak ks. Sufragan Likowski, urodził się w dyecezyi poznańskiej, zrósł się z nią, większą część kleru wychował i zna każdego prawie księdza po imieniu, kto od lat tylu rządzi dyecezyą — temu nie skoro pewnie wyrywać się i iść w strony, gdzie trzeba sobie zaufanie zdobywać, stósunki badać, kler poznawać, bo na to nie czas temu, kto ma lat 64, — nimby się rozejrzało po wielkiej dyecezyi lwowskiej, jużby starość przytłoczyła i najsilniejszą naturę. Z pewnością ks. Sufragan Likowski byłby dla swej nauki, świątobliwości i pracowitości ozdobą i chlubą każdej stolicy biskupiej, ale tu zachodzą inne niby widoki. Czy serdecznie nam i bardzo życzliwy ks. kardynał Kopp rządzi sprawami kościoła nietylko w Prusiech, lecz i w Austryi — nie wiem, aleć pewnie nie. Księża kanonicy Marx i Speil — nawiasowo dodając także kandydaci na biskupstwo chełmińskie — są bez wątpienia bardzo zacni i wszelkiej czci godni kapłani i mężowie, ale najstósowniejszem dla nich miejscem to dyecezya wrocławska. Dał tak Bóg to, wszystkie te kombinacye i politykowania“ — to promoveatur ut amoveatur — to usuwanie i narzucanie sufraganów „cum jure sucedendi“ — jeszcze tym razem i tak zaraz się nie ziszczą i pokaże się, że mędrszy P. Bóg i większy, niż p. Tryzna.“

Można przypuszczać, że i kapituła lwowska w sprawie oboru czy nominacyi przyszłego arcybiskupa wezwaną zostanie poufnie do rady. Największą krzywdę by ona wyrządziła zaborowi pruskiemu, gdyby za ewentualną kandydaturą X. sufragana Likowskiego chciała się oświadczyć, utrudniając mu w ten sposób odmowę. Zresztą jest przecież we Lwowie kapłan-wygnaniec, —arcybiskup, pozbawiony swego tronu, — pasterz, którego przemocą od jego owczarni oddalono: ksiądz Hryniewiecki, arcybiskup wileński, najpierw więziony, a potem wygnany z kraju za stałość w wierze. Czyż na tego kapłana, który obecnie w cichości i pokorze chrześcijańskiej sprawuje obowiązki kanonika — czyż na niego nie powinien paść wybór? Gdyby się znalazło poparcie cesarz Franciszek Józef nie odmówiłby zapewne tej nominacyi. — Ale czy się znajdzie?

„Wielkopolanin“ w ostatnim tygodniu ogłosił wyczerpujące sprawozdanie z działalności teatru polskiego w Poznaniu. Niektóre uwagi w sprawozdaniu tem poczynione, zasługują na przytoczenie:

„Prowadzenie teatru u nas tak, aby wywołać w przybliżeniu ogólne zadowolenie, jest trudnem, bo teatr polski, z powodu, że jest jedynym, musi się stosować do najrozmaitszych kierunków sztuki dramatycznej. Znaczy to, że nie może uprawiać wyłącznie dramatu, albo komedyi poważnej, albo komedyi lekkiej, albo wodewilu, albo farsy, albo operetki, lecz zmuszonym jest ze wszystkiego dawać potrochu, aby zadość uczynić gustom publiczności, której jedna część jest zwolenniczką sztuki poważnej, druga i to większa część, sztuki lżejszej.

„Dyrektor teatru jako przedsiębiorca, nie może iść wbrew gustom większości publiczności, lecz zrozumiawszy gust publiczności, jemu dogadzać.

„Ale powiadają ci, którzy uważają teatr za instytucyą mającą kształcić: — „Nam finansowy rezultat dyrektora nie wystarcza. Chcielibyśmy, aby scena działała pouczająco, podnosiła poziom umysłowy. Żądania nasze nie są bez podstawy, bo jest subwencya płynąca z kieszeni obywatelskich. Kształcić zaś może scena, jeżeli większą uwagę zwróci na poważniejszą sztukę.“

„Mamy więc dwa prądy.

„Jeden, który powiada: „Teatr ma mi dać rozrywkę“, drugi, który powiada: „Teatr ma dawać rozrywkę, ale także działać pouczająco i wychowawczo.“ Za pierwszym prądem stoi przeciętna publiczność, za drugim obywatele, którzy chcieliby, aby ze wszystkiego, co stworzyliśmy, płynął pożytek poważny, głębszy, oddziałujący na przyszłość.

„Za którym prądem ma iść dyrektor teatru? Jasnem jest, że pójdzie, jako przedsiębiorca za pierwszym, jako obywatel za drugim. Obecny dyrektor pan Ryger stara się, ile się to da, zastósować się do obu prądów — to jest baczy na zysk swój, jako przedsiębiorca, ale nie zapomina też o obowiązku obywatela.

„Nikt zaprzeczyć nie może, że na scenie naszej pojawiają się więcej niż kiedykolwiek, wszystkie nowości, obiegające inne sceny, że one nie zawsze są dobre — to już nie wina dyrektora, lecz tego, że sztuk dobrych jest wogóle nie wiele.

„Nikt zaprzeczyć nie może, że scena nasza wystawia obok sztuk lżejszych także rzeczy głęboko pomyślane, poważne i budzące do myślenia — a więc dyrektor spełnia najzupełniej swe obowiązki i jeżeli jest niezadowolenie, jest ono zupełnie nieuzasadnionem.

„Nam się wydaje, że jeżeli jest niezadowolenie, wypływa ono przeważnie z często niedostatecznego wykonania tej lub owej części repertoaru.

„Czy w danych warunkach to niedomaganie da się usunąć, nie przesądzamy.

„Nie wątpimy jednak wcale, że pan dyrektor Ryger, nie tylko zdolny administrator, nie tylko zdolny artysta, lecz także bystry znawca publiczności, w większej części będzie umiał usunąć przyczyny niezadowolenia, czyli, że postara się o skład personalu, któryby w przybliżeniu odpowiednim był do zadowolenia także w przybliżeniu zwolenników sztuki tak poważnej, jak lżejszej.

„Lecz oprócz publiczności jest jeszcze inny czynnik, mogący mieć wpływ na scenę — a tym czynnikiem jest prasa.

W jaki sposób może prasa oddziaływać na scenę? Na to pytanie jest jedna odpowiedź: rzeczową i fachową krytyką.

„Czy mamy taką krytykę?

„Smiało powiedzieć możemy, że takiej krytyki fachowej w pismach poznańskich nie ma. Nie ma zaś dlatego takiej krytyki, bo zazwyczaj krytyki takie są atrybucyą pism literackich, a gruntu odpowiedniego dla pisma literackiego u nas chwilowo brak.

„Krytyki w codziennych pismach politycznych nie mogą być w naszych warunkach, przy niedostatku sił literackich, traktowane pierwszorzędnie, oddziałują więc rzadko objaśniająco na publiczność i na artystów.“

Zdaniem naszem powyższy pogląd zupełnie odpowiada istotnemu stanowi rzeczy, mianowicie też co do ostatniego punktu. Krytyka i sztuka uzupełniają się nawzajem: gdzie brak zdrowej, sumiennej i wyczerpującej krytyki, tam też i sztuka dobrze rozwijać się nie może.

Że tej krytyki u nas nie ma, nie chcemy z tego robić bynajmniej zarzutu nikomu, ponieważ to leży w naturze rzeczy, jest wynikiem stosunków. Nie wszystkie pisma mogą przecież zapełniać łamy sprawozdaniami teatralnemi, z chwilą zaś gdy ten przywilej jednemu, najwyżej dwom pismom przypada w udziale, już to przestaje być krytyką — bo brak różnicy zdań; są tylko osobistości.

W ubiegłym tygodniu upłynęło sto lat od dnia narodzin wielkiego i zasłużonego społeczeństwu męża, Dra Karola Marcinkowskiego.

Pamięć wielkich swych mężów czci każde ucywilizowane społeczeństwo, więc i naród polski, a szczególnie nasza Wielkopolska w dniu stuletniego jubileuszu narodzin Dra Marcinkowskiego powinna złożyć hołd temu mężowi, który całe życie myślał tylko o swych współziomkach, pracował usilnie nad podniesieniem moralnem i ekonomicznem swego narodu, a pracował z takim skutkiem, że i dziś jeszcze jego czyny i praca narodowi przynoszą korzyści i są pomnikami jego poświęcenia dla sprawy narodowej w chwilach ogólnego zwątpienia i niedoli.

O Marcinkowskim i obchodzie jego urodzin pisze **„Postęp“** co następuje:

„Na wielkopolskiej ziemi w dniu pamiętnego jubileuszu znakomitego i zasłużonego człowieka i nazwać można przyjaciela ludzkości, nie słychać nic o publicznych manifestacyach, któreby głośno i uroczyście ten jubileusz obchodziły. Odpowiada to poniekąd skromnemu życiu dr. Karola Marcinkowskiego, który

nie dla blasku i poklasku pracował nad dobrem społeczeństwa, ale w poczuciu spełnienia świętego obowiązku, jaki ciąży na każdym obywatelu, chcącym się przysłużyć swemu narodowi. Jednakże nie ze wszystkiem można się godzić na ten jubileusz stuletni Marcinkowskiego, aby był jedynie obchodzony w „skupieniu ducha.“ Swiadomość o czynach i zasługach tego męża, chociaż wiele o nim już pisano i mówiono, nie przeszła jeszcze w szerszy ogół społeczeństwa w tym stopniu, jakby to sobie życzyć wypadało.

„Jubileusz głośniejszy, święcony poważniejszemi obchodami mógłby pamięć i imię dr. Marcinkowskiego rozszerzyć i pogłębić. Tutaj powinny przedewszystkiem Towarzystwa Przemysłowe podjąć inicyatywę do takich skromnych a poważnych obchodów jubileuszowych, poświęconych pamięci dr. Karola Marcinkowskiego.

„Cała działalność tego zasłużonego męża była jeżeli nie wyłącznie, to przynajmniej w przeważnej mierze poświęcona podźwignięciu polskiego przemysłu i polskiego handlu, w których to gałęziach zarobkowych upatrywał on bystrem okiem już przed przeszło lat 50 polepszenie doli społecznej. Towarzystwo Pomocy Naukowej i Bazar poznański, to widome pomniki tej jego błogiej działalności na tem polu.

„Sam mieszczańskiego pochodzenia, pragnął Marcinkowski, aby mieszczaństwo polskie stanęło na wyżynie zadań czasu i postępowało na równi z innemi narodami. I w tym kierunku zdziałał tyle dobrego, że nikt przedtem w tych usiłowaniach około wzrostu mieszczaństwa go nie przewyższył. Pamiętał też o ludzie wiejskim, którego poziom oświaty koniecznie podźwignąć pragnął. Przewidywał on wówczas już dobrze, że na mieszczaństwie i ludzie polskim przyszłość narodu należy oprzeć. Między te miliony nieść pochodnię oświaty, przez oświatę wzbudzić w nich poczucie godności człowieka i dać im sposób wyuczenia się pracy, którą w całości socyalnej, jako jednego ciała ogniwa, zlane w jednorodność ogółu użytecznemi stać się mogą, zabezpieczając zarazem własną duchową i materyalną niezawisłość. Otóż według własnych słów Marcinkowskiego program, który zakreślił i nad którym pracował.“

Do cnót i zasług Marcinkowskiego wznieść się nie tak łatwo, bo to był człowiek niezwykły, — ale naśladować go w jego działalności wszyscy możemy, a więc powinniśmy.

K. O.

Głosy od Przyjaciół.

Rudne Piekary, (Górny Śląsk).

Szanownej Redakcyi

donoszę, jak to u nas panowie urzędnicy sobie postępują z Polakami. W zeszłym tygodniu spisywał nasz urzędnik (sztygar) kto umie po niemiecku, a kto po polsku, a to dlatego, ponieważ wyszły książeczki z paragrafami policyi górniczej z głównego urzędu w Wrocławiu. Kto umie po niemiecku dostać miał niemieckie paragrafy, a kto po polsku polskie. Ma się rozumieć, że wszyscy chcieli polskie książki, jak stary tak młody, ale pożal się Boże. Pan sztygar, gdy kto żądał polskich paragrafów, a wiedział, że kiedyś przy robocie, przemówił do niego jakiemi koślawemi niemieckiemi słowami, już go za Niemca uznawał i ani się nie pytał, tylko spisywał, że „Alles Deutsch“. Dodać też jeszcze winienem na pociechę, że w tej naszej kopalni, gdzie się obrócę, to widzę w ręku każdego górnika gazetę polską, najwięcej „Katolika“ z Bytomia i „Pracy“ i „Czytelni Polskiej“ z Poznania. Muszę już kończyć to niezgrabne pisanie, bo mi to trochę trudno przychodzi, ponieważ się nigdzie nie uczyłem po polsku ani jednego słowa polskiego, ani katechizmu nic a nic tylko tak od siebie się trochę nauczyłem pisać, a czytać umiem dość dobrze. Pozdrawiam serdecznie wszystkich panów majstrów od „Pracy i „Czytelni Polskiej“.

N. N., górnik.

* * *

Höntrop, (***Westfalia).***

Szanowna Redakcyo!

Pozwalam sobie donieść Szanownej Redakcyi, jakich gwałtów dopuszczają się niektórzy Niemcy na tych Polakach, którzy kochają swój język i ojczyznę i drugich do kochania naszych najświętszych skarbów napominają. Dziś niektórzy Niemcy chwytają się najnikczemniejszych środków i takich Polaków, którzy się otwarcie przyznają do swej narodowości i drugich do wytrwania w niej zachęcają, chcą głodem umorzyć, ponieważ wyrzucają ich z pracy bez wszelkiej przyczyny, bez żadnego powodu. Ażeby udowodnić, że tak jest, wymienię zaraz jeden taki wypadek. Owóż w końcu r. z. wypowiedziano miejsce rodakowi, panu Kwaśniewskiemu, który pracował w tem miejscu 5 lat, a wypowiedziano mu bez powodu, bez przyczyny, tak, że ów werkmistrz, u którego pan Kw. pracował, zdziwił się okropnie. Gdy więc dostał nakaz z góry, ażeby p. Kw. wypowiedział miejsce, powiedział te słowa: „To jest mój najlepszy, najpilniejszy robotnik!“ Na to odpowiedziano mu: „Wszystko jedno, tego człowieka musimy się pozbyć!“

Pan Kw. nie był tem zadowolony i poszedł do najwyższego urzędnika z zapytaniem o przyczynę wydalenia z pracy. „Dlatego jest wam miejsce wypowiedziane, odpowiedział ów pan urzędnik, ponieważ zajmujecie się sprawami polskiemi tu w Westfalii, zwołujecie zebrania polskie i w każdą niedzielę jeździcie wszędzie po Towarzystwach i macie tam długie mowy do Polaków!“

Na to odrzekł pan Kw.: „Co po za pracą robię, to jest panom nic do tego, myślę, że jeżeli moją robotę dobrze i punktualnie odstawię, to wystarczy!“ „Takich ludzi nie możemy potrzebować“ — brzmiała odpowiedź urzędnika. Pan Kwaśniewski nie stracił ducha, gdzieindziej też roboty nie szukał, bo wiedział, że spotkał by go ten sam los w innem miejscu, bo było mu bardzo podpadającem, zkąd owi urzędnicy mogli się dowiedzieć, iż on zajmuje się sprawami polskiemi. Miejsca więc innego nie szukał, lecz zajął się gorliwie kupiectwem i otworzył handel win i cygar i z tego ma utrzymanie a przy tem postarał się o zastępstwa z kilku fabryk i ma świetne utrzymanie teraz. Chcieli go ci panowie głodem umorzyć, bo go wydalili z pracy, lecz to im się nie udało. Daj Boże nam tu na obczyźnie więcej takich ludzi, przynajmniej w każdej miejscowości kilku lub kilkunastu! Nadmienić mi wypada, że chociaż pan Kw. ma matkę Niemkę, jest jednak dobrym Polakiem i gorącym patryotą. Wstydzić by mogli się w obec tego ci, którzy mają matki Polki a narodowość polską lekceważą.

Z szacunkiem

Wierny Czytelnik „Pracy.“

Korespondencya specyalna „Pracy.“

Z Kujaw d. 1. lipca 1900.

(Dr.) Rzadko tylko, kochana „Praco“, zamieszczasz korespondencye z naszych Kujaw, rzekomo miodem i mlekiem płynących. Wydawać by się mogło, że tu nic się nie dzieje, coby zasługiwało albo na uznanie i pochwałę, albo na naganę, a chociażby tylko na wzmiankę. A jednak, ktoby tak sądził, grubo by się mylił. Niestety, więcej tu zasługuje na naganę, aniżeli na pochwałę.

Zaręczam ci, kochana „Praco“, że jednak o ugodowych prądach nikomu się tu ani nie śni! Coś podobnego twierdzić może tylko ten, kto wnosi z kilku czysto przypadkowych wypadków i zdarzeń, które jednakże nie posiadały znamiennego znaczenia. Takim wypadkiem były np. wybory ostatnie do rady miejskiej, przy których zawarto kompromis niemiecko-żydowsko-polski. Projekt do kompromisu tego dali żydzi, a zapewnił on Polakom zupełnie równe korzyści z innemi stronami czyli obozami. Dawał nam dwa mandaty radnych więcej, niż mieliśmy dotychczas. Ponieważ zaś nie mamy jeszcze nawet w trzeciej klasie absolutnej przewagi i ponieważ wskutek tego w razie walki zwycięztwo nasze było conajmniej wątpliwem, więc czyż dziwić się można, że kompromis taki przyjęto? Na sprawy miejskie mają tu Polacy jeszcze, chwała Bogu, wpływ dość znaczny i to głównie dzięki kilku doskonałym radnym. Mamy ich razem 10 — a pomiędzy nimi panowie dyr. Grabski, dr. Krzymiński, Michał Kozłowicz, Czapla i Grosman zdobyli już sobie znaczenie powag, podczas gdy przy ostatnich wyborach przybyły nam jeszcze dwie dobre siły, dyr. Czarliński i Mecenas Galon. Atoli wybory rzeczone oraz stanowisko radnych naszych w radzie nie sięgają po za granice spraw czysto komunalnych. W *polityce* i w sprawach narodowościowych nie ma i u nas żadnego kompromisu, żadnej ugody, jest walka, taka sama, jaka się toczy w rządzie, na całym obsarze zaboru pruskiego, walka, może mniej hałaśliwa, niż gdzieindziej, ale przez to bynajmniej nie mniej zacięta.

Prawda, że możnaby ją z naszej strony prowadzić z większym naciskiem, z większą siłą. I tu zaczyna się utyskiwanie moje. Ale że jest stosunkowo mdłą, że prowadzi się ją po naszej stronie ra-

czej biernie niż czynnie, to nie winne temu jakieś „nowe prądy“ — lecz jedynie i wyłączne nieszczęsna gnuśność społeczeństwa tutejszego, a więcej niebezpieczne wprost *zmateryalizowanie*, jakiemu ono uległo.

Przyczynę tego szukać może należy w ogólnych tutejszych stosunkach ekonomicznych. Nie ma pewnie powiatu i nie ma miasta w naszej dzielnicy, któreby mogły w ostatnich dwudziestu i pięciu latach wykazać tak ogromny rozwój ekonomiczny, jak powiat nasz i miasto Inowrocław. Sprawiły to głównie buraki, ale także inne okoliczności sprzyjające. Ziemia podskoczyła znacznie w cenie, bo przy dobrej gospodarce daje tu mimo niskich cen płodów rolniczych nadzwyczajne zyski, a miasto wzrosło w ciągu ćwierć wieku z 6000 na przeszło 25000 mieszkańców, dziś zaś podobno liczy ich już blisko 27000. Jak zwykle w takich razach nagłego rozwoju, zrodził się duch spekulacyjny u mieszkańca, a ogarnął zarówno wieś jak miasto, przytłumiając, lub na drugi plan spychając idealniejsze uczucia. Spekulacye, gdy się udadzą, dają, że tak powiem, przez noc majątek. Wypadków takich nie brakło tu i między Polonią. Inni znów, dzięki ogólnemu rozwojowi, zdobyli sobie chociaż wolniej i mozolniej, ale w każdym razie w bardzo krótkim czasie wcale znaczny dobrobyt. Majątek i dobrobyt rodzą znów *chęć używania*, gdy zaś zaspokojenie tej chęci wymaga coraz więcej pieniędzy — więc popycha znów do spekulacyi. Oto prawdziwie zaczarowane koło, w którem się tu obracamy, a z którego głównie wynika nasza gnuśność w innych, idealniejszych sprawach. Wielu oto potrzebuje do swych interesów i spekulacyi Niemców i żydów, więc nie chce ich sobie zrazić i po prostu, z wyjątkiem tam, gdzie już wprost *musi*, np. przy wyborach, żadnego nie bierze udziału w pracy narodowej, unika starannie podejrzenia „wielkopolskiej agitacyi“. A pożal się Boże! są między nimi ludzie, którzy by w pracy tej, jako majętni i niekrępowani troską o byt, przewodzić mogli, są między nimi ludzie wszystkich stanów, zarówno młodzi, jak i starzy.

Jeśli tedy was tam zdziwiła ogromnie wieść o sprzedaży Wronów landbankowi hakatystycznemu, to u nas zdziwienia wcale nie wywołało. Arcysmutny ten fakt jest bowiem jedynie wpływem owego powyżej scharakteryzowanego prądu spekulacyjnego, nie jest zaś pierwszym, a — niestety — nie będzie zapewne ostatnim. Trzeba ot znać dzisiejszą młodzież naszą! Mamy na myśli w pierwszym rzędzie młodzież ziemiańską, szlachecką. Z powodzi utracyuszostwa, która zabrała nam większą część ziemi, ocalało na Kujawach zaledwie kilkadziesiąt majątków polskich. Właściciele ich rozmaicie się mają, jedni lepiej, drudzy gorzej. Jest między nimi kilkunastu gospodarzy wprost wzorowych, ale i reszta nie zasługuje bynajmniej na zarzut tak zw. „polskiej gospodarki“. Wogóle o tem, ażeby którykolwiek z nich znajdował się wprost w rozpaczliwem położeniu, nic nie słychać. A jednak co chwila zrywa się ni ztąd ni zowąd pogłoska, że ten lub ów pertraktuje z komisyą lub z landbankiem. A pogłoski te zawsze prawie wymieniają młodszych. Co do Wronów pogłoska wnet się sprawdziła. I ten majątek przeszedł w ręce obce nie z konieczności, lecz „*dla spekulacyi*“. Młodemu właścicielowi nie chciało się trudzić zbytnio młodych kości na co prawda trochę niewdzięcznym kawałku ziemi. Przyszedł obcy, dał grubą sumę, więc sprzedał mu ziemię. Co dla niego dobro publiczne, co honor, co słowo dane, kiedy się bez trudu zbogacić można! A takich tu wiele. Któż ręczy, że za tydzień nie postąpi tak samo drugi i trzeci? Toć na szampana i kobietki pieniędzy potrzeba, przy winie zaprzepaści się resztę wstydu.

Starsi, jak starsi, przeważnie obywatele zacni, pracowici, oszczędni i patryotyczni. Młodzież jednakże — z nielicznymi wyjątkami Kujawy pochwalić się nie mogą. Zły to znak, zła wróżba na przyszłość.

A i w mieście nie lepiej się dzieje. I tu młodzież unika pracy publicznej i woli w lokalach pić i w atletów się bawić, przyczem nawet nogi łamią.

Nie będę specyalizował licznych wypadków takich i podobnych, bo sądzę, że już ta krótka wskazówka wystarczy, aby winni uderzyli się w piersi i nowe, lepsze życie zaczęli. Towarzystwa nasze chromają i ledwie wegetują. Tam dużo pola do pracy, niech tam bawią się, ale w atletykę... duchową, niech się stara jeden drugiego przewyższyć pracą, oszczędnością, uczciwą służbą publiczną, a wszystko lepiej będzie!



Witold Leitgeber,
księgarz z Ostrowa, skazany przez Sąd rzeszy w Lipsku na rok fortecy.

W setną rocznicę

przysięgi Kościuszki.

Wiek minął jak chwila nad ziemią niedoli,
A przemoc wciąż straszna się sroży,
I coraz to cięższe łańcuchy niewoli —
O kiedyż uderzy grom Boży!
O kiedyż nad krwawe rozłogi i jary
Zwycięzkie zaszumią sztandary?!

Tak szczęsna ta ziemia słynęła przez wieki,
Gdy Naród na służbie stał Pana —
W dwa morza krew jego płynęła, jak rzeki,
W obronie Europy przelana;
Jak długo starczyło miłości i cnoty,
Lśnił nad nią wolności dzień złoty.

I chociaż jak potop zalały kraj wrogi,
Gdy Bogu zdał Naród swą sprawę,
Gdy ślub król uczynił, lud podnieść ubogi:
Watahy rozgromił w puch krwawe,
I z wstydem, pobici pierzchnęli sąsiedzi:
Moskale, Prusacy i Szwedzi.

Lecz kiedy ofiarność minionych stuleci
I wiary pochodnia pobladła —
Gdy mimo przysięgi zapomniał kraj kmieci,
Noc przyszła i Polska upadła;
I jęczy wiek cały w krwi, we łzach, zdeptana,
Pod jarzmem Moskala tyrana.

Ach, iluż krew w boju za wolność przelało!
Ach ilu nieszczęsnych tułaczy
Śród lodów Sybiru pod knutem skonało,
A ilu w obczyźnie z rozpaczy!
A jednak śród zdarzeń tak strasznej kolei
Nie gaśnie w nas promień nadziei.

Bo chociaż nam serca pękają z boleści:
To jedno dodaje otuchy,
Że nie padł nasz Naród przed wrogiem bez cześci,
Że wielkie w nim wzbudził Bóg duchy,
Że powstał bohater miłością orężny,
Co powiódł w bój lud nasz siermiężny.

Bojownik wolności, dwu światów obrońca,
Waleczny, a słodki i święty,
Kochanek Narodu — w obliczu on słońca
Bój wrogom zaprzysiągł zacięty;
I wiary dochował — nie rozstał się z zbroją,
Aż ziemię tę oblał krwią swoją.

I poszli z Kościuszką krakowscy wieśniacy
I mieszczan warszawskich tysiące,
I nieśli swe ręce strudzone od pracy
I serca w ofierze gorące,
I brali armaty jak starzy żołnierze,
Ci nowej już Polski rycerze.

O cześć im! i cześć wam Wodziccy, Grochowscy,
Jasińscy, Kopciowie, Wyszkowscy!
Cześć wszystkim, co zdala śród wrogów przebojem
Za Matkę w bój święty pobiegli —
Cześć wszystkim, co krwawym znoili się znojem,
Co w boju za wolność polegli.

Bo kości ich białe, co świecą po polach,
To nowej podstawa budowy;
Choć Polska już cały wiek wije się w bolach,
Dopóki Narodu duch zdrowy
Pamięta, że Rycerz na ziemi on Boży,
Nie ugnie nas przemoc — nie strwoży!

O bracia! czas płynie bez przerwy znikomy,

A gośćmi my tutaj na ziemi —
Bóg cel nasz — my jego budujem tu domy,
Krwią naszą i łzami naszemi;
Gdy inni chcą tylko: „pieniędzy i chleba!“ —
Nam Boga — Ojczyzny potrzeba!

Słyszycie? nad mury i wieże Krakowa
Zygmunta dźwięk płynie w niebiosy —
Przed wiekiem, gdy brzmiały Kościuszki tu słowa,
On tymi samymi grał głosy.
Ach! może dźwięk dzwonu bolesny i głuchy —
Praojców sprowadzi tu duchy.

I może w tę wielką rocznicę stuletnią
Przemówią do duszy tajemnie,
I serca rozgrzeją i myśl nam uświetnią —
Przyszłości rozjaśnią nam ciemnie;
I może uczujem miłości potęgę,

. . . .

I może na wielkiej Ojczyzny mogile,
Śród wspomnień potęgi i chwały,
Jej mękę wiekową odczujem na chwilę,
Ślub złożym: dać żywot Jej cały,
Stać wiernie, gdy wkoło w gruz pada świat stary,
Pod znakiem Narodu i wiary.

A kiedy z nim pójdziem i wielcy i mali,
My bracia do pracy dłoń w dłoni:
To wejrzy Pan z nieba i z grobu ocali,
Godzina zmartwychwstań zadzwoni,
I zstąpi Bóg w serca i między dwa morza
Znów staniem, jak święta brać Boża!

Wincenty Stroka.

Tadeusz Kościuszko.

(Ciąg dalszy.)

Ocenienie działalności Kościuszki, jako naczelnego wodza, wymaga zawodowego znawstwa. Są wszelako pewne dane, które pozwalają wyrobić sobie w tej mierze sąd nieomylny. Że był przygotowany do takiego stanowiska, dał tego dowody w Ameryce. Przebył wielką wojnę, w której trzeba było stwarzać wojsko i wszystkie środki wojenne, podobnie jak potem w naszem powstaniu. Dowody uzdolnienia złożył w obronie twierdz, oraz w pracach naukowych i organizacyjnych. Dla Ameryki napisał dzieło: „manoeuvres of horse artilery“, oraz wypracował plan organizacyjny szkoły wojskowej w West Point. W kraju, już jako jenerał, lubo podwładny pod Dubienką wielkie okazał talenta, wstrzymywał nieprzyjaciela wielekroć przeważającego i ocalił armią. Raporta jego świadczą o wszechstronnej zabiegliwości i objęciu.

Cała kampania powstańcza pozostawała pod grozą nieprzygotowania, sił niedostatecznych, braku nawet posłuchu należytego, rozbijania się wysiłków wodza nawet o niechęci, a wreszcie pod grozą ogromnej przewagi wojsk nieprzyjacielskich, rosyjskich i pruskich, wspólnie działających. Naczelnik przewidywał to wszystko, gdy się domagał odroczenia wybuchu dla przygotowania sił. Ale gdy już stanął na czele, okazał się niezmożonym, niewyczerpanym. Zestawienie jego przewidywań z jego poświęceniem, z wielkiemi a daremnemi owocami jego trudów to bolesna tragedya. Nietylko pracą, rozumem, doświadczeniem, pomysłowością, gorącym zapałem i zachętą sprawie służył, ale nie żałował i własnej osoby. Był on duszą, był on wszystkiem dla powodzenia dzieła. Jakie środki zarządzał, widzieliśmy już z odezw i uniwersałów; wojsko nowe stworzył i umiał je natchnąć zapałem i odwagą. Nad przeważnemi siłami odniósł wielkie zwycięztwo racławickie; prowadzenie obrony Warszawy było równie dzielnem jak sławnem; manewrował znakomicie wobec coraz większych niebezpieczeństw, a wina klęski nie na niego spada. On uczynił wszystko, co do wodza naczelnego należało. Po uwolnieniu Warszawy zajął się sam skontrolowaniem wszystkich większych komend w kraju, jeździł od jednej do drugiej, przyspieszał uzbrojenia i formacye nowych zaciągów, obmyślił generalny plan wojny, wydał rozkazy. A z jakiemi w tem wszystkiem trudnościami musiał się mocować, poznać to snadnie można z jego własnych słów. Pod d. 13 sierpnia pisał do rady najwyższej: „Od czterech miesięcy piszę o płaszcze dla żołnierzy napróżno i nie wiem, kiedy się ich spodziewać; jesień i słoty wczesne; żołnierz bez namiotów, prawie bez odzieży; idzie o zdrowie — i obawa zbiegania przez biedę...“

Jego te trudności nie zmogły; powodów zaś upadku powstania trzeba szukać głównie w tem, że ludzie, tak członkowie Rady najwyższej, jak i jenerałowie podkomendni i następcy w dowództwie naczelnem, jak niemniej całe społeczeństwo znękane nie dorośli, ani dzielnością charakteru, ani talentami, ani poświęceniem do wymagań położenia...

Na winnych klęski maciejowickiej wyda dopiero historya ostateczny wyrok. Do ocenienia zaś działalności Kościuszki wystarcza to, co ogłosiła najwyższa Rada narodowa. W odezwie z 14 października czytamy: „Dywizya Naczelnika stała o 3 mile od dywizyi Ponińskiego. Mając atakować Moskalów, takie poczynił rozporządzenia Naczelnik, iżby w czasie samej akcyi na pomoc przybył Poniński. Tak się więc uszykował, iż odsłonił lewe skrzydło swoje i zostawił próżne miejsce dla Moskalów, którzy w nim stanąwszy mieli być wzięci z boku od Ponińskiego, dla którego wygotowane już baterye....“ Poniński nie przybył, wojsko polskie na jednem skrzydle zachwiane pospieszył Kościuszko osobiście podtrzymać. Koń mu padł, kozacy go poranili, pozostał bezprzytomny i obdarty wśród trupów na polu bitwy, która była przegraną od chwili, gdy jego zabrakło.

Ale i całego powstania los był już od tej chwili rozstrzygniętym. Po Maciejowicach mieli jeszcze wojska: Ks. J. Poniatowski 6.000, Zajączek 5.400, Mokronowski na Litwie 12.000, Dąbrowski w Polsce 4.000, Poniński 4.000, Grabowski nad Narwią 3.000 razem 34.000. Rada narodowa mianowała nowych wodzów, usiłowała dalej wojnę prowadzić, ale okazało się, że usiłowania są daremne, gdyż geniuszem narodu i wojny narodowej był wówczas tylko Kościuszko, a on był rannym i w niewolę wziętym. Że istotnie naród całą wiarę i ufność tylko w Kościuszce pokładał, świadczą o tem odezwy Rady narodowej, ogłaszane w ówczesnej „Gazecie Rządowej.“ Czytamy tam:

„Tak on umiał połączyć przymioty walecznego rycerza z przymiotami słodkiego i dobrego człowieka, iż rzadkim w świecie przykładem, kochanym był od wszystkich. Obojętni nawet, lub nieprzyjaźni naszej sprawie, którzy uwłaczali dziełu powstania, jemu uwłaczać nie śmieli...“

„Co tylko oznacza doskonałego wodza i wielkiego rycerza, to wszystko okazał nasz kochany Naczelnik; wszędzie się znajdował, wszędzie zagrzewał, wszędzie dowodził...“

„Wiadomość o pojmaniu Kościuszki wielu o śmierć przyprawiła, kilka brzemiennych niewiast poroniło z przerażenia, niejeden chory znalazł zgon w trawiącej febrze, wielu popadło w napady szaleństwa. Spotykano po ulicach kobiety, lecz i mężów dojrzałych, którzy załamywali ręce, uderzali głową o mur i powtarzali z głośnym wyrazem rozpaczy, niema Kościuszki, ojczyzna zgubiona...“ „Widzieć było lud snujący się po ulicach jakoby obłąkany, nie wiedzący, gdzie szedł, lub gdzieby się miał udać. Wszędzie ponure milczenie, wszędzie twarze zalane łzami, wszędzie postać ludzi zdumiałych nad wielkością straty powszechnej.“

Świadek i uczestnik wojny, oficer pruski, który nazywa Kościuszkę ze swojego stanowiska politycznym zbrodniarzem, donosił przecież po bitwie maciejowickiej: Ze wszech miar wielki i szanowny człowiek, wielki generał i dowiódł tego. Chociaż pobity, bił jednak

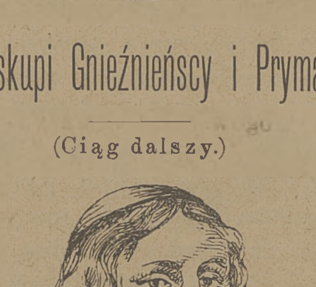
a jakież miał w porównaniu wojsko? Twórcza jego siła podziwienia godna, sam bowiem tworząc wojsko, wśród tworzenia walczył niem z dwoma najlepszemi wojskami Europy, nie mając ani ich źródeł, ani ich karności. Czegóż byłby nie dokazał na czele dobrego i opatrzonego wojska, kiedy tyle uczynił z chłopami, którzy nic nie umieli. Równie przytem wielki, szanowny z charakteru, w poświęceniu się, w miłości dla ojczyzny, dla jej wolności i niepodległości. Dowiódł także, że brzydzi się niegodziwością i podstępnemi środkami, dowiódł dobrej wiary i sprawiedliwości.“ (Ostatnie słowa odnoszą się do rozkazów Kościuszki względem ludzkiego obchodzenia się z więźniami, oraz zakazów używania środków takich, jak n. p. zatrucie studni.) Jak ceniono w Europie wojskowe zdolności Kościuszki, okazuje fakt, że Dyrektoryat chciał mu oddać naczelne dowództwo nad armią francuską a jenerał Massena rad jego zasięgał.

Świadectwa te znamionują dostatecznie człowieka, obywatela i wodza. Ale jeżeli rozpacz naród ogarniała, Kościuszko do końca życia nie rozpaczał. I w tej mierze świeci on wzorem bez skazy. I należy mu się wdzięczność także za to, że podniósł jawny i głośny protest przeciw potwarzy szerzonej przez niemieckich i francuskich pisarzy, potwarzy, która jeszcze się czasem tłucze po obcych pismach, jakoby Kościuszko pod Maciejowicami był zawołał: „finis Poloniae.“ Potwarz sama w sobie była bezrozumną. Kiedy Kościuszko padał, był otoczony tylko kozakami, więc chyba kozacy mieli zrozumieć i zapamiętać łacińskie słowa, kozacy, którzy zgoła nie wiedzieli, że to Kościuszko. Gdy jednak potwarz szerzyła się, Kościuszko wystąpił, żeby ją zdusić.

(Dokończenie nastąpi.)

Arcybiskupi Gnieźnieńscy i Prymasi.

(Ciąg dalszy.)



63. MIKOŁAJ IV PRAŻMOWSKI,

herbu Belina, syn Jędrzeja, kasztelana warszawskiego i Jadwigi z Kożuchowskich. Kształcił się w Sandomierzu i Kaliszu pod okiem OO. Jezuitów. Dostawszy się na dwór Prymasa Jana Lipskiego, umiał sobie zjednać jego łaski do tego stopnia, że Prymas umierając polecił go w testamencie opiece swoich egzekutorów.

Urodził się w r. 1617, kanonikiem krakowskim został w r. 1649, w r. 1652 proboszcz krakowski i gnieźnieński, w tymże roku referendarz wielki koronny, w r. 1658 podkanclerz, a w kilka dni nieledwie wielki kanclerz koronny, został w następnym roku 1659 Biskupem łuckim. Należał do sławnych układów w Oliwie, bo jeździł z królem i królową do Prus. W dniu 1 stycznia 1659 wjeżdżał z parą królewską do Torunia. W r. 1666 mianowany został Prymasem i Arcybiskupem gnieźnieńskim.

W dziejach Polski imię jego nieszczególnie zapisane. Była to osobistość oddana cała Maryi Ludwice, której wszystko zawdzięczał. Człowiek namiętny i do intryg wszelakich skłonny, był interrejem od września 1668 do czerwca 1669. Popierał jawnie i wszelkiemi możliwemi środkami Kondeusza, ale gdy szlachta obwołała królem Michała Korybuta Wiśniowieckiego, pobiegł na pole elekcyjne i królem go ogłosił, a następnie koronował 29 września 1669 r. Mimo to intrygował przeciw niemu dalej, przez co wywołał konfederacyą pod Gołębiem.

Umarł w zamku ujazdowskim 15 kwietnia 1673 r., pochowany w Łowiczu, gdzie ma pomnik.



64. FLORYAN KAŹMIRZ Książę CZARTORYSKI,

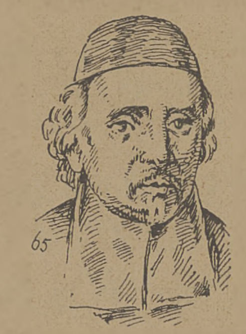
syn Mikołaja na Klewaniu, wojewody wołyńskiego i księżniczki Izabelli Koreckiej. Staranne w domu odebrał wychowanie, a matka wpoiła mu wielką nabożność. Przeznaczony do stanu duchownego, pobierał nauki u OO. Jezuitów w Łucku. Wysłany potem do Rzymu, kształcił się tam pod okiem sławnego mistrza Jezuitów Jana de Lugo, którego Urban VIII mianował Kardynałem. W Rzymie też został wyświęcony na kapłana i otrzymał stopień doktora św. teologii. Wracając do Polski, przywiózł ze sobą ciało św. Bonifacego, które mu dał Kardynał Barberini, a które to relikwie uroczyście wprowadził do Klewania.

Był sekretarzem królewskim u Władysława IV, kanonikiem wileńskim, później płockim i krakowskim, a w r. 1650 został Biskupem poznańskim. W r. 1654 otrzymał biskupstwo kujawskie, a po śmierci Prymasa Prażmowskiego mianował go król Michał Arcybiskupem gnieźnieńskim w r. 1674. Umarł w tymże roku 15 Maja w Warszawie i tam pochowany w kościele św. Jana na swe własne życzenie.

Była to postać Plutarchowa, jak powiada Bartoszewicz, mąż wielkiej wymowy, wzorowy Biskup i wielki patryota. W czasie elekcyi w r. 1669 ważną odegrał rolę i jego wmięszanie się załagodziło ówczesną burzę. Bronił energicznie króla Michała, mianowicie na sejmie czerwcowym w r. 1672.

65. ANDRZEJ III OLSZOWSKI,

herbu Prus, urodził się w roku 1621 z Waleryana Olszowskiego, podkomornika wendeńskiego i Zofii z Skrzynna Duninównej, herbu Łabędź. Uczęszczał najpierw przez 3 lata do kolegium jezuickiego w Kaliszu, a następnie do akademii krakowskiej. Miał rzadki talent do pisania wierszy. W Krakowie kształcił się przez 5 lat i ćwiczył się w prawie kanonicznem i teologii. Dziad po kądzieli Mikołaj Koniecpolski, kanonik gnieźnieński, przybrał go sobie za koadjutora, po czem



65. Andrzej III Olszowski.

wysłał go ojciec do Włoch. W drodze do Rzymu wstąpił do Padwy, gdzie przez 3 miesiące słuchał nauk u znakomitych profesorów. W Rzymie bawił 3 lata, zkąd wyjechał do Francyi i przez przeszło rok słuchał nauk w sławnej Sorbonie. Do kraju wrócił wraz z posłami Leszczyńskim i Opalińskim, których wysłano do Paryża po królową Maryą Ludwikę Gonzagę.

Ściągnięty przez Andrzeja Trzebickiego, kanclerza Prymasa Łubieńskiego na dwór łowicki, przez 6 lat pracował tam w kancelaryi. Został potem kolejno proboszczem kruświckim, proboszczem poznańskim, kanonikiem warszawskim, a w r. 1661 Biskupem chełmińskim. W r. 1675 został Arcybiskupem gnieźnieńskim i Prymasem. Umarł w Gdańsku 29 sierpnia r. 1677, pochowany w Gnieźnie, gdzie ma nagrobek.



66. JAN XII STEFAN WYDŻGA,

herbu Jastrzębiec. Był synem Jana podsędka lwowskiego i Zofii Kiewliczówney, herbu Radwan. Kształcił się najpierw we Lwowie, po czem wysłany za granicę, bawił w Belgii, Francyi, Hiszpanii i Włoszech, gdzie w Rzymie został doktorem teologii. Wróciwszy do Polski, został kanonikiem lwowskim i niebawem zasłynął wymową i przez kanclerza Radziwiłła nazwanym został „cudem kaznodziejów.“ Na sejmie elekcyjnym 1 października 1648 miał kazanie w kościele św. Jana w Warszawie. W r. 1652 proboszcz krakowski, potem w r. 1655 Biskup łucki, w r. 1659 Biskup warmiński, został Arcybiskupem gnieźnieńskim w r. 1679. Umarł w Łowiczu roku 1685, pochowany w Gnieźnie.

Pozostawił po sobie kilka dzieł, a mianowicie: „Historyą rzeczy, które się działy w Polsce od roku 1655—1660.“ Dalej wiersze do portretów Biskupów warmińskich, kazania, oraz zbiór listów i mów sejmowych.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Miłość Ojczyzny.

Napisał
Franciszek Mąkowski.

„Wiarę i Ojczyznę kochaj bracie, siostro, całą potęgą twej duszy i serca twego, bo to najdroższe skarby twoje!“

*

„Polsko Ty moja, gdy już nieprzytomni
Będziemy, wspomnij Ty o nas, o wspomnij!
Wszak myśmy z Twego zrobili nazwiska
Pacierz co płacze — i piorun co błyska.“
Juliusz Słowacki.

*

„O nie płacz nie — choć tak dziś źle,
Choć tak kajdany gniotą okrutnie...
Nadejdzie czas — Bóg wesprze nas,
Nie będzie wtedy tak, jak dziś, smutnie
I szczęścia pieśń zadzwoni w świat,
Wolności złotej rozkwitnie kwiat
I zniknie żal — popłynie w dal
Wśród czasu fal,
Więc nie płacz, nie,
Choć dziś tak źle,
Tak źle!!...
Jadwiga Strokowa.

„Litwo! Ojczyzno moja, ty jesteś, jak zdrowie!
Ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowie,
Kto cię stracił. Dziś piękność Twą w całej ozdobie
Widzę i opisuję, bo tęsknię po tobie!...“

Wstępem tym rozpoczyna nieśmiertelny wieszcz nasz Adam Mickiewicz wiekopomne dzieło „Pan Tadeusz“, które napisał poza granicami Ojczyzny, na ziemi obcej.

„Ojczyzno moja, *Ty jesteś jak zdrowie!*“

Jakaż to gorąca miłość Ojczyzny przebija się w tych słowach poety. Ojczyznę porównuje on do zdrowia i mówi:

„Ile Cię trzeba cenić, ten tylko się dowie, *kto Cię stracił*“. Cóż jest droższego dla człowieka nad zdrowie? Jakie znaczenie i wartość mają dla człowieka chorego zaszczyty i świetna fortuna? Żadnego! Wszystko on by poświęcił i chętnie poprzestałby na kawałku suchego chleba i skromnem stanowisku, byleby tylko zdrowie mógł odzyskać. Czem też dla nas była wolna Ojczyzna, dziś czujemy i widzimy, straciwszy wolność jej. Dziś każdy prawy Polak wszystkoby poświęcił, mienie i życie złożyłby w ofierze, byleby tylko okupić tem straconą wolność najdroższej Ojczyzny swej.

Miłujmyż więc tę Ojczyznę naszą i mówmy z serca: „Jeśli cię zapomnę, Ojczyzno miła moja, niech będzie zapomniana prawica moja.

„Niech język przyschnie do ust moich, jeżli pomnieć na cię nie będę, a jeśli cię nie położę na czele wszystkich pociech moich!“

Lecz cóż to jest Ojczyzna, cóż to jest miłość Ojczyzny?

Sławią dzieje miłość Ojczyzny u Greków i Rzymian, a rzymski poeta Roscyusz w uniesieniu woła: „O ojcze, o ojczyzno, o progi przodków moich!“ Lecz polski poeta Krasicki w te z głębi duszy wysnute, a w sercu każdego Polaka złotym rylcem wyżłobione odzywa się słowa:

„Święta miłości kochanej Ojczyzny!
Czują cię tylko umysły poczciwe.
Dla ciebie zjadłe smakują trucizny,
Dla ciebie węzy, pęta niezelżywe,
Kształcisz kalectwo przez chwalebne blizny,
Gnieździsz w umyśle rozkoszy prawdziwe,
Byle cię tylko można wspomódz, wspierać,
Nie żal żyć w nędzy, nie żal i umierać!“

Miłość Ojczyzny sławią pisarze świata całego po wszystkie wieki; ale w Polsce bujnym ona wyrasta kwieciem. Ustami poetów wygłoszone słowo, ciałem się tu stało.

Jaśnieją przykładami miłości Ojczyzny bohaterowie starożytnej Romy, ale i Polski dzieci spełniały co do litery to, o czem śpiewał wymieniony nasz Krasicki.

W dniach zamierzchłej przeszłości, kiedy Lech przyszedł w te kraje, już tam widzimy Krakusa, co z narażeniem życia własnego zabija wawelskiego smoka. Po nim występuje przed nami z nurtów Wisły piękna Wandy postać, co nie chcąc wraz z ręką oddać narodu w posługę z Niemiec przybyłego Rytygiera, wolała skoczyć do srebrnej topieli rzek naszych królowej. One dwa, ponad jej wodami sterczące pagórki, są pierwszym miłości Ojczyzny wykwitem. Od zarania dziejów więc naszych świeci ona jasnym blaskiem na każdej ich karcie. U złotych bram Kijowa i pod Płowcami, to pod Grunwaldem, na Warny polach i pod Wielkiemi Łukami, to znów pod Kirchholmem, Smoleńskiem i Cecorą i na wyspie Alsen i pod Stawiszczami i tam pod Wiedniem i za czasów walki rycerzy z Baru i na Maciejowic niwach i wszędzie, gdziekolwiek szabla polska z wrogów krzyżowała się orężem, w każdej z rozlicznych bitew, jakich tu i tysiącznej nie wymieniłem części, wszędzie nieśli przodkowie nasi życie w obronie Ojczyzny, dla której „kształcili kalectwo przez chwalebne blizny“.

Czyż mam przytaczać te dalsze boje, gdzie legiony nasze po utracie Ojczyzny szły z pieśnią: „Marsz, marsz Dąbrowski“ walczyć dla niej i do górami najeżonej Hiszpanii i do pięknych Włoch i tam do gorących krain i nad Berezyną, pod Lipsk i Waterloo.

Czy stawiać wam przed oczy te olbrzymie zapasy nowych bohaterów, co bliznami okryci wdłuż i wszerz przechodzili Europę i wyspę św. Dominika?



Rynek w Bieczu (Wschodnia Galicya).



Stefan Pichon, ambasador francuzki. Claude Macdonald, ambasador angielski. Edwin H. Tonger. ambasador Stanów Zjednoczonych Giers, ambasador rosyjski.

Ambasadorzy mocarstw europejskich w stolicy Chin w Pekinie.

Znacie pewnie te nadludzkie wysiłki miłości Ojczyzny, znacie też i nowsze zapasy krwawe z carem północy na polach Grochowa i Ostrołęki; znacie i ofiary z roku 1863, a wszędzie przed oczyma duszy widnieją napisy:

„O święta Polsko! i tu leżą twe syny,
Co życie stracili za kraj swój jedyny.“

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Ślub arcyksięcia.

O przebiegu uroczystości w Reichstadzie, gdzie zawarte zostały śluby morganatyczne austro-węgierskiego następcy tronu z hr. Chotek, donoszą pisma wiedeńskie następujące szczegóły:



Arcyksiąże Franciszek Ferdynand,
następca tronu austro-węgierskiego.

Liczbę gości ograniczono do najszczuplejszego grona krewnych i domowników. O godz. wpół do 11 rano pochód weselny ruszył z apartamentów do kaplicy. W pierwszej parze szedł pan młody w wielkim uniformie generalskim, błyszczący weselem i zdrowiem, wraz z macochą arcyksiężną Maryą Teresą, drugą parę tworzyły siostry arcyksięcia: Marya Annuncyata i Elżbieta, a dopiero trzecią panna młoda z wujem, księciem von Löwenstein i z szefem domu Chotków, Karolem hr. Chotkiem po prawicy i lewicy. Panna młoda miała białą atłasową suknię, ubraną myrtami, z ogonem na metr długim, we włosach dyadem brylantowy. Potem szli parami krewni panny młodej, wreszcie hr. Nostitz, ochmistrz dworu arcyksięcia i zarazem świadek jego na akcie ślubnym. dama dworska Malliard de Chatonnaye i ochmistrz dworu arcyksiężnej Maryi Teresy, hrabia Caoriani.



Admirał Seymour,
głównodowodzący armią zjednoczonych mocarstw europejskich w Chinach.

Z polecenia arcyksięcia pozwolono publiczności, zebranej na podwórzu zamkowem, wejść do przedsionka kaplicy. Z powodu padającego deszczu musiano zaniechać projektu, aby młoda para zaraz po ślubie objechała miasto.

Aktu ślubnego dopełnił dziekan miejscowy ks. Hiekisch, w asystencyi OO. Kapucynów Andrzeja i Floryana. Ks. Hiekisch wygłosił krótką, lecz wzruszającą przemowę, podnosząc ważność owej chwili, która spełni najgorętsze życzenia narzeczonych i zjednoczy ich na całe życie.

Śluby wyrzekli arcyksiążę i jego narzeczona głosem mocnym i podniesionym. Rozległy się one wyraźnie po całej kaplicy. Widoczne wzruszenie przecież ogarnęło młodą parę w momencie, gdy zamieniali obrączki.

„Oby te obrączki — rzekł ksiądz dziekan - były zarazem po wszystkie czasy świadkami waszego niezmąconego pożycia małżeńskiego. Tego wam życzą jak najgoręcej miliony serc.“

Po ceremonii na organach zagrano hymn austryacki, którego wszyscy wysłuchali w postawie stojącej. Wreszcie odprawiono mszę cichą.

O godzinie wpół do dwunastej podano śniadanie. Arcyksiążę siedział w środku po prawej stronie stołu, naprzeciwko niego po lewej arcyksiężna Marya Teresa, jego macocha. Po lewej stronie arcyksięcia siedziała jego żona, księżna von Hohenberg, po prawej siostra arcyksiężna Marya Annuncyata. Po lewej stronie księżnej Hohenberg siedziała arcyksiężna Elżbieta Arcyksiężna Marya Teresa wzniosła toast na cześć nowożeńców, zakończony potrójnem: „Niech żyją!“ Muzyka pułkowa zagrała hymn austryacki.

Zaraz po śniadaniu nowożeńcy odjechali. Na kolej odprowadziły ich arcyksiężna Marya Teresa i Marya Annuncyata. Arcyksiążę jechał wraz z małżonką wśród szpaleru dzieci szkolnych, sypiących kwiaty i powiewających chorągwiami, stowarzyszeń i publiczności. Miasto było ozdobione flagami. Arcyksiążę kilkakrotnie kazał zatrzymać wagon i dziękował serdecznie burmistrzowi tudzież dziatwie szkolnej.



Hrabianka Chotek,
małżonka arcyksięcia Franciszka Ferdynanda, wyniesiona przez cesarza austryackiego do godności dziedzicznej księżnej na Hohenbergu.

Pociąg przybył o godzinie 8 minut 9 wieczorem do Benenowa wśród deszczu. Na wyraźne życzenie arcyksięcia miasta nie przyozdobiono i zaniechano przyjęcia urzędowego. Pan młody miał mundur generała kawaleryi; panna młoda miała szary kostyum podróżny. Przed dworcem zgromadzone tłumy powitały okrzykami dostojną parę, udającą się do Konopischt.

Jeszcze przed ślubem marszałek dworu arcyksięcia Franciszka Ferdynanda, hr. Nostitz otrzymał następujący telegram: „Jego cesarska i królewska Apostolska Mość raczył podnieść małżonkę Jego cesarskiej Wysokości, z domu hrabiankę Chotek, do godności dziedzicznej księżnej austryackiej z nazwiskiem Hohenberg i predykatem „Książęca Łaskawość.“ Proszę Waszej Ekscelencyi zawiadomić o tem księżnę i złożyć jej zarazem moje życzenia. Gołuchowski.“

CZĘŚĆ DRUGA.

KRWAWY CHRZEST.

Powieść ze zdarzeń ostatnich w trzech częściach.

Napisał

J. Dzierzkowski.

Partyzanci.

(Ciąg dalszy.)

Fideikomisu nie można było już dalej używać za tarczę ochronną, widział to pan Artur wyraźnie. Chwycił się więc ostatniego środka ratunku — wyznał przed panem Bartłomiejem, że jakkolwiek czuje wielką do szabli wokacyę, przecież wychowanie uczyniło go zdolniejszym do służenia krajowi piórem i językiem w zawodzie dyplomatycznym i dla tego właśnie udawał się do Warszawy, aby misyę zagraniczną od Rządu narodowego otrzymać.

Potrzeba było tylko słyszeć jak się na te słowa panu Bartłomiejowi rozwiązał język.

— Dyplomacya, rozumiem — zawołał — tylko że mnie tatuś uczyli, że dyplomacya dobra na zakąskę, jeżeli jest poczem zakąsić. Chcesz pan dyplomatyzować — zgoda, ale naprzód trzeba dać Moskalowi w łeb, a potem dopiero można się z nim układać. Zaczynać od dyplomacyi djabła warto, dopóki wroga nie przydusisz, to cię w targach dyplomatycznych ośmi i złupi. Pierwsza rzecz zatem bić się, i jeżeli pan chcesz dyplomatyzować, to najprzód pomagaj się bić, żeby ci się spieszniej otworzyło pole do targów... Siak czy tak tedy, panie bratku, zabieram pana.

Być może, że p. Bartłomiej nie miał jeszcze na seryo myśli przymusowego zwerbowania byłego kamerjunkra do powstańczych szeregów, że się tylko bawił jego kłopotem, ale pan Artur brał te nalegania na seryo, a jeszcze bardziej na seryo przyjmowała je ciocia Giefia, która stanowczość okazaną przez Zahajpolskiego w czasie odbywanych poszukiwań brała za znak nieomylny, że z nim nie ma co żartować i że co przyrzekł gotów zrobić.

Ona zatem podjęła się instancyi. Przekonywała p. na Bartłomieja, że pan Artur do powstania iść nie może, że życie jego jest zbyt drogiem dla Ojczyzny, żeby w pierwszej lepszej potyczce być na szwank narażonym, że pan Artur jest miękki, delikatny, wypieszczony itd. itd.

Od większej części tych instancyi aż sam protegowany wypraszać się musiał, przeklinając w duchu niezręczność protektorki, która panu Bartłomiejowi, jakby na złość, podawała okazye do coraz nowych sarkazmów.

Nareszcie ciocia, widząc, że nic nie wskóra perswazyami, wstała z kanapy i zawołała stanowczo:

— Panie Bartłomieju! jestem kobietą i lubię, żeby się działo zadość mej woli. Powiadam panu wprost, że nie będziesz się czepiał pana Artura i zostawisz go w spokoju, żeby służył krajowi, jak mu się podoba, nie weźmiesz go w narodowe rekruty!

— To zobaczymy, pani dobrodziejko — odpowiedział pan Bartłomiej z uśmiechem.

— Zobaczymy — odparła ciocia Giefia i majestatycznym krokiem wyszła z pokoju.

Zahajpolski i pan Artur zostali sami.

Pan Artur czuł, że dowódca powstańczy ma na niego wzrok wlepiony, nie śmiał oczu podnieść i nie wiedział, od czego zacząć rozmowę.

Położenie jego było nader żenujące i przykre.

Ale jeszcze bardziej żenującem i przykrem stało się, gdy Zahajpolski po chwilowem milczeniu zbliżył się do niego i uderzając z lekka parę razy rzekł:

— Czy tak czy siak, panie bratku, musisz to sobie kazać obandażować...

— Co takiego?

— To ramię.

— Po co?...

— Żeby ci dusza z niego nie uciekła.

Oczy pana Artura krwią nabiegły.

— Panie Zahajpolski! — zawołał.

Stary poklepał go powtórnie po ramieniu, nic sobie z jego gniewu nie robiąc.

— No, tak — rzekł — rozdąsaj się choć trochę, kawalerze, zaświadcz choć tym sposobem, że nie byłbyś taką papinkowatą niańką, gdyby cię wprzód kochać Ojczyznę i nienawidzieć jej wrogów niż parlefransować i tańczyć kontredansa uczono. Gniewaj się, paniczu! Wtedy przynajmniej, gdy się gniewasz, nie wydajesz się salonową lalką, jaką cię twoje bony i niańki zrobiły.

— Panie Zahajpolski! — unosił się pan Artur, którego zimna krew najzupełniej go opuściła — powtarzam panu... dość tego...

— Dość tego! — zawołał Zahajpolski — masz racyę... czy siak czy tak, dość tego... straszyłem cię tylko, nie wezmę cię do obozu, zostań z babami, tchórzów u nas w oddziale nie potrzeba, tylko żołnierzy i to nie takich, co przed pierwszą potyczką skryją się w rów alb w krzaki...

Chciał coś odpowiedzieć pan Artur, lecz już nie miał czasu.

Z sąsiedniego pokoju dał się słyszeć jakiś szczęk, jakby broni, po chwili otworzyły się drzwi i na progu ukazała się jakaś postać rycerska, trochę po teatralnemu w blachę imitującą stal zakuta.

Trzeba się było dobrze wpatrzeć w to niespodziewane i nadzwyczajne zjawisko, ażeby w niem poznać — ciocię Giefię...

Miała ona na głowie hełm, na piersiach pancerz, w ręku trzymała długi płaski miecz, którego pochwa przy lewym jej boku wisiała.

Tarczy tylko obowiązkowej brakowało do zupełnego kostyumu Joanny d'Arc, przedstawionej na scenie jakiego małego miasteczka.

Hełm i pancerz były impromizowane naprędce z najrozmaitszego żelastwa, miecz stanowił najstarszy antyk familijny, przechowany w zbrojowni rotmistrza, który przy zabieraniu mieszkańcom broni po ogłoszeniu stanu oblężenia, nie został zabrany z Zaskala, ponieważ czynownik nie uznał tego ciężkiego i niezgrabnego narzędzia za żaden oręż całości i bezpieczeństwu moskiewskiego caratu grozić mogący.

Taki rysztunek wyszykowała sobie ciocia Giefia przy pomocy Chapki, Paraszki, Olenki, miejscowego kowala, podstarościego Lemieszyńskiego i Jana gracyalisty, i ten jej występ kostyumowy miał być w jej przekonaniu owym heroicznym środkiem, mającym stanowczo ocalić pana Artura.

— Panie Zahajpolski! — rzekła uroczyście — chciałeś z tego domu podatku krwi... przynoszę ci go... staję w szeregach narodowych i walczyć będę jak mężczyzna, ale w zamian za to żądam uwolnienia tego młodzieńca...

Mówiąc te słowa ciocia Giefia mieczem wskazała marszałkowicza, który przed tą bronią niepalną instynktownie o krok się cofnął.

Że ciocia Giefia w tym stroju, z tą powagą i z temi słowami na ustach, wyglądała nad wyraz komicznie, i że pan Bartłomiej aż za boki się chwycił, zbytecznem byłoby dodawać. — —

Ale prędko gniew go opuścił. Namarszczył brew, splunął energicznie, i rzekł:

— Biada nam! doczekaliśmy się synów drągali, którym na myśl o powąchaniu prochu dusza w pięty ucieka, i których odwagą pierwsza lepsza białogłowa, fartuch, spódnica, podwiązka, zawstydzić musi!... Idź się asani rozbierz z tej maszkarady, — dodał zwracając się do cioci Gefi — a potem siadaj w ciepłej izbie z czeladzią godzinki śpiewać, i kądziel prząść, a asana, panie de Ketteler, proszę ze mną...

— Co pan chcesz zrobić? — szepnął wylękniony do ostatka pan Artur.

— Chcę pokazać mojemu oddziałowi lalkę, którą jedna baba w rycerskiem rzemiośle chciała wyręczyć, jako do dźwigania karabina za delikatną, a potem dać tej lalce konwój i odtransportować ją aż do miedzy granicznej.... Proszę ze mną!

— Panie Zahajpolski, słówko tylko — rzekł były kamerjunkier.

— Byle niedługo, słucham.

— Zleś mnie pan posądził... nie jestem tchórzem... miałem wprawdzie powody, które mnie wstrzymywały od pójścia już teraz do obozu, ale w obec pańskich podejrzeń, powody te nie mają żadnego znaczenia. Proszę pana o broń i o miejsce w pańskim oddziale... czynem dowiodę, że pozory, na zasadzie których mnie pan potępiłeś, były fałszywe...

— A co?... nie mówiłam, że to bohater! — zawołała ciocia Giefia usłyszawszy te słowa.

XII.

Zkąd takie bohaterstwo przyszło nagle panu de Ketteler, czytelnik pewno pytać nie będzie. „Potrzeba jest matką wynalazków,“ powiada przysłowie, i w duszy pana Artura wynalazła owo bohaterstwo potrzeba. Po niefortunnym sposobie ocalenia go od pójścia do oddziału, wymyślonym przez ciocię Giefię, nie podobna było zrobić nic innego jak to co zrobił, albo dać się ośmieszyć i znieważyć.

Został tedy pan Artur żołnierzem narodowym i został nim całą duszą. Przebrał się zaraz w długie buty, przypiął oznaki, jakie nosili powstańcy, przypasał broń, i prosząc pana Bartłomieja, żeby go gdzie na warcie na całą noc postawił, zapewniał, że się żadnej służby dla ojczyzny nie wzdryga.

Dyplomacya uczy *faire bonne mine au mauvais jeu* — pan Artur niedarmo był dyplomatą.

Pan Bartłomiej patrzył na to wszystko i głową kręcił.

— A no! czy tak czy siak, panie bratku będzie z waści żołnierz jak widzę.

Jako zwierzchnik i dowódca był uprawniony do tego poufalszego sposobu wyrażania się, ale mówiąc tak głośno, pomrukiwał z cicha pod nosem:

Póki strzelać nie zaczęli, rozumie się.

Razem z walecznym rycerzem wstąpił do oddziału jego giermek, ów woźnica, który go dowiózł do Zaskala. Konie wyprzężone z powozu przyjęte także zostały w służbę kawaleryi narodowej.

Przez kilka dni służba wojskowa nie była ciężka dla pana Artura. Ograniczała się na mustrach, patrolowaniu, pikietach i rekonesansach niedalekich, mających na celu skomunikowanie się z innemi częściami oddziału Klina, rozlokowanemi w okolicy. Pan Bartłomiej stał ciągle kwaterą u cioci Giefi, ale czujny i baczny nie myślał o kapuańskich rozkoszach i wciąż miał swoich ludzi w pogotowiu. W dzień i w nocy był wszędzie, gdzie potrzeba i dbał o to, ażeby na dane hasło wszystko było gotowe do wyruszenia przeciw nieprzyjacielowi.

Chwila starcia, jak naczelny dowódca przewidział, nie mogła być daleką.

Czwartego dnia swojej służby wojskowej, z rana, szeregowiec Ketteler (któżby się pod tem nazwaniem mógł domyślać byłego carskiego kamerjunkra!) otrzymał od p. Bartłomieja polecenie obserwowania przez lunetę drogi prowadzącej do Gradowiec, i dania znać, gdyby się okazała jakakolwiek oznaka, wróżąca zbliżanie się nieprzyjaciela.

Nie potrzebował czekać długo. Luneta pokazała mu wkrótce, na samym końcu widnokręgu piki kozackie.

Nie mamy czasu analizować uczucia, jakiego doznał na ten widok, zaręczyć tylko możemy, że to nie było uczucie przyjemne.

Ile tych pik było, nie próbował liczyć pan Artur, — mnożyły się one do nieskonczoności w jego oczach, zdawało mu się, że widzi ruchomy, w stronę Gradowiec zmierzający las.

Pospieszył z raportem do dowócy, przekonany, że mu przyniesie przerażającą i niespodziewaną wiadomość.

Omylił się.

Podczas gdy on stał na czatach, oddział zahajpolski ustanowionym już został przez dowódcę w szyk bojowy. Pan Bartłomiej nie od pana Artura dopiero miał się dowiedzieć, że Moskale się zbliżają. Wiedział on już od dawna, że się zbliżyć muszą, a wiadomość, że ich już widać, była mu potrzebną tak tylko, jak potrzebnym jest dla kapitana okrzyk „ziemia“ z wierzchołka masztu, chociaż wie dobrze, że tej ziemi jest blisko i że ku niej ten statek ciągle kierował.

— Dobrze, — odpowiedział pan Bartłomiej — teraz na koń i wyruszamy.

— Dokąd? — spytał lękliwie pan Artur.

Ale dowódca już nie słuchał tego nieuprawnionego pytania. Znajdował się na czele oddziału, który właśnie ruszał się z miejsca.

Były kamerjunkier rad nie rad dosiadł swojego konia i znalazł się w szeregu.

Pochód odbywał się szybko, ale ostrożnie i cicho. Pan Bartłomiej tak dobierał drogę, żeby oddział jego był ciągle przed Moskalami przez miejscowość zasłoniętym. Mógł to uczynić, bo się wprzód doskonale w miejscowości rozpatrzył.

Po kwandransie może marszu dowódca zatrzymał swój oddział i kazał swoim żołnierzom pozsiadać z koni.

Było to miejsce naprzód upatrzone i odpowiednio przygotowane na zasadzkę. Przez cały czas wolny, jaki od wypadków gradowieckich i przyjścia do Zaskala aż do tej chwili upłynął, pracowano nad urządzeniem tego stanowiska, którego jedynym celem było dopuścić nieprzyjaciela o ile podobna najbliżej, aby nań znienacka i niespodziewanie uderzyć.

Takież same roboty przedsięwzięte zostały przez głównego naczelnika, w innej miejscowości, po drugiej stronie drogi położonej.

Pan Artur uczuł się dość bezpiecznym w tym, częścią przez naturę, a częścią ręką ludzką przygotowanym zasieku. Jaki miał plan pan Bartłomiej, ani też że ten plan został w ścisłym związku z działalnością głównego naczelnika oddziału, nie było mu naturalnie wiadomem. Przypuszał tylko, że Zahajpolski chce ukryć swoich ludzi przed oczyma przeciągających drogą Moskali, i przyznał mu w duchu, że się do tego wziął bardzo zręcznie. Jeżeli Moskale nie byli przez jakiego szpiega poinformowani o tej kryjówce, to mogli przejść najspokojniej i nie zwrócić na nią uwagi. Miał więc syn markiza niejaką otuchę, że nadciągająca burza przeminie.

Otucha ta rosła w nim nawet w miarę zbliżania się moskiewskiego zastępu. O tem zbliżaniu się wiedział nietyllko na podstawie obserwacyi, którą robił na swym zegarku, a którego wskazówki świadczyły wyraźnie, że oddział moskiewski, jeżeli ciągle drogą naprzód się posuwał, musiał już dochodzić do punktu, w którym ta droga najbardziej była zbliżoną do obranego przez pana Bartłomieja stanowiska, ale nadto zapewniał go o tem najwyraźniej jeden ze zmysłów, zmysł słuchu.

W oddziale powstańczym panowała uroczysta cisza, najmniejszy zatem gwar z oddali dochodził do ukrytych w zasadzce. Tym sposobem słyszeli oni coraz wyraźniej zbliżającą się wrzawę moskiewskiego oddziału, którego poruszenie obserwował przez lunetę sam tylko pan Bartłomiej, z uprzednio na ten cel przygotowanego i upatrzonego punktu.

Wrzawa ta, z odległości kilku staj znacznie przytłumiona, zdawało się, że już doszła do swojego maximum, a jeszcze pan Bartłomiej oddziałowi swojemu nie nakazał robić najmniejszego manewru. Później zaczęła wyraźniej słabnąć, co świadczyło, że Moskale przeszli już punkt najbliższy lub w inną stronę się zwrócili.

Gdy to zjawisko akustyczne zaobserwował młody Ketteler, uczuł się o połowę lżejszym. Pierś mu wezbrała uczuciem jakiejś wdzięczności za ocalenie od niebezpieczeństwa, oraz pragnieniem wynurzenia tej wdzięczności w jakibądź sposób. W pierwszej chwili nie wiedział tylko, komuby tę wdzięczność wynurzyć, i dziwić mu się nie podobna — zbyt był przejęty. Im bardziej jednak słabł i cichnął gwar przeciągającego moskiewskiego żołdactwa, tem do większej równowagi przychodziły jego władze umysłowe, przypomniał więc sobie nareszcie, że w Łaszczyńcach znajduje się kaplica wzniesiona przez jego ojca na cześć Tego, bez którego woli włos z głowy człowieka nie spadnie, który ptastwo niebieskie żywi i odziewa, i o najmniejszym robaczku pamięta. Uznał tedy za najwłaściwsze pan Ketteler wdzięczność, którą serce jego wezbrało, temu Najwyższemu Wszechopiekunowi wynurzyć, czyli mówiąc po prostu, uczynił w duchu najsolenniejszy ślub, że jeśli z tej afery wyjdzie cało, jeśli mu włos z głowy nie spadnie, jeśli Moskalom, którzy przeszli, nie przyjdzie ochota powrócić, złoży w tej kaplicy swoje votum, w postaci szczerozłotego serca umieszczonego w ołtarzu.

Czy jednak ta ofiara nie była dostateczną, czy zapóźną, czy z innych jakich powodów nie zasługiwała na względy, dość, że nie została przyjętą.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

SĄD BOŻY.

Tłómaczył z angielskiego S. P.

TOM I.

ROZDZIAŁ PIERWSZY.

Dziwne spotkanie.

Zegar na ratuszu w Sibley wydzwonił właśnie godzinę dwunastą i posiedzenie sądowe skończyło się. Przewodniczący, sędzia Ewans, stał jeszcze w towarzystwie kilku znakomitych adwokatów okręgu w bramie gmachu sądowego i rozmawiał z nimi o sprawie kryminalnej, którą co dopiero sądzili i o rozmaitych klasach złoczyńców wogóle.

Ferris, adwokat miejscowy, twierdził, że skoro brak poczucia religijnego i złe namiętności opanują stany wyższe, to wykrycie zbrodni napotyka nieprzebyte prawie trudności.

— Dla ukrycia zbrodni i zamydlenia oczu sądom — mówił dalej — potrafi człowiek wykształcony użyć tyle przebiegłości, podstępu i sztuki udawania, że niejeden wytrawny sędzia da się wywieść w pole. Natomiast człowiek prosty nie zna się na tych sztukach. Zbrodniarzowi z stanów niższych jest nieraz wina jego formalnie wypisaną na czole...

— Tak jak temu włóczędze naprzykład — przerwał adwokat Lard wskazując na nizkiego, krępego o podejrzanej powierzchowności mężczyznę, który właśnie skręcał z wązkiej ścieżki, leżącej pomiędzy dwoma ogrodami, na drogę główną, wiodącą obok sądu. Włóczęga ów dźwigał na plecach miech z ciężarem i szedł dosyć prędko, nie oglądając się ani w prawo ani w lewo.

— Takich ludzi widać najczęściej na ławie oskarżonych — odezwał się teraz adwokat Orkut, sławny z swoich spraw kryminalnych. Patrzcie panowie, jak on ukradkiem na nas spogląda. Zauważył pewnie, że rozmawialiśmy o nim — idzie coraz prędzej, no, a nawet zaczyna biedz z całej siły!

— Może ma coś na sumieniu — zawołał Ewans.

— Wyszłoby mu to na złe! — rzekł Ferris — bo tak łatwo nie ujdzie nam jaki złoczyńca. Złodzieji mamy w naszej okolicy aż nadto, ale dotychczas schwytano każdego, aby więc morderca miał ujść bezkarnie, to rzecz zupełnie niemożliwa!...

— W takim razie musi być tutejsza policya doskonale urządzoną — odezwał się jeden z towarzyszów Ewansa. Był to młody człowiek, który dotychczas milczał jeszcze, słuchając uważnie rozmowy adwokatów.

— Niekoniecznie, ale złoczyńcy bywają zwykle bardzo niezręczni. Nie umieją zatrzeć śladów swych czynów.

— Kto jest przebiegły, ten wogóle śladów nie zostawia — wmięszał się jakiś ostry głos do rozmowy. Z za filara wyszedł mężczyzna, wysoki, trochę ułomny, czerwonowłosy i zbliżył się do adwokatów. Nikt go widocznie nie znał, ale on słyszał zapewne każde słowo, wymówione poprzednio, bo nie zważając na zdumione spojrzenia obecnych, ciągnął śmiało dalej:

— Dlatego tylko łatwo ująć zbrodniarzy, że zostawiają ślady i uciekają się potem do podpadających środków w celu usunięcia ich. Kto nie chce być odkrytym, ten powinien najlepiej użyć broni, która znajduje się na miejscu i wybrać ulicę ożywioną, na której ludzie, wozy i konie zacierają wszelkie ślady. I tak upadają podejrzenia, bo nie mają żadnych podstaw i w końcu trzeba sprawę zaniechać. Patrzcie panowie, weźmy n. p. ten dom narożni, — dodał nieznajomy, wskazując na przeciwległy dom, — podczas kiedy my tu stoimy, weszło już i wyszło kilkanaście osób bocznemi drzwiami, pomiędzy niemi i ów podejrzany handlarz. Nie wiem, kto tam mieszka, ale przypuśćmy, że jaka starsza, samotna kobieta. Gdyby za godzinę wszedł ktoś do ogrodu i znalazł ją nieżywą za tą szopą albo za owym stosem drzewa, i obok niej własną jej siekierę, na kogóż padłoby podejrzenie? Naturalnie na włóczęgę-handlarza, po którym, sądząc z jego powierzchowności, można się wszystkiego złego spodziewać. Ale podejrzenie nie jest dowodem. I gdyby się wyparł swego czynu, nie mógłby go żaden sąd ukarać.

Mówiąc to, skinął nieznajomy niedbale głową i oddalił się zwolna, adwokat Ferris jednak nie chciał zmienić raz już rozpoczętego tematu rozmowy.

— Panie Byrd, — rzekł zwracając się do młodego człowieka, który dotąd raz się tylko odezwał — co sądzisz o tem, jako rzeczoznawca? Myślisz, że tajna policya zdołałaby wykryć winę handlarza?

— Nie wiem, — odpowiedział zapytany z pewnem wahaniem, — nie jestem jeszcze dosyć doświadczonym, abym mógł wyrazić moje zdanie. Ale słyszałem od pana Gryce, naszego najsławniejszego detektiwa z Nowego-Yorku, że tylko raz jedyny nie udało mu się odkryć mordercy. Sprawa ta dręczyła go długi czas, sam opowiadał o tem. Otóż pewien kupiec, żyd, został zamordowanym wśród jasnego dnia, podczas kiedy sięgał z wysokiej szafy pudło z pończochami, znaleziono go bowiem z ogromną raną w czaszce, leżącego przed ową szafą. Skład jego, położony na jednej z najożywieńszych ulic miasta, miał dwa wyjścia, mnóstwo ludzi chodziło i wychodziło tamtędy, ale kto popełnił zbrodnię, tego nie wiadomo. Najusilniejsze starania nie doprowadziły do żadnego celu. Nikt nie wiedział, aby kupiec ów miał nieprzyjaciół lub krewnych, czyhających na jego kilka dollarów. W całem jego życiu nie było ani jednej podejrzanej chwili, można więc tylko przypuszczać, że ktoś chciał go z drogi usunąć, ale kto i czemu, tego nie udało się policyi wykryć. Tylko morderca sam to wie!

— I jeszcze ktoś, — odezwał się Evaus uroczyście. — Bóg!

Głębokie milczenie zapanowało po tych słowach. Adwokat Orkut spojrzał na zegarek.

— Muszę iść na obiad, — rzekł po chwili, i ukłoniwszy się kolegom, przeszedł ulicę, aby się udać do skromnego domku pewnej wdowy, u której zwykle o tym czasie jadł obiad.

Evans i reszta adwokatów stali jeszcze kilka minut patrząc za odchodzącym, który właśnie teraz wchodził we drzwi domu. I już zamierzali się także pożegnać, gdy nagle adwokat Lard krzyknął głośno i wskazał ręką na dom, do którego wszedł Orkut. Oczy wszystkich zwróciły się w tym kierunku.

Na progu stał Orkut, a po ruchach jego widać było, że w najwyższym pospiechu wybiegł napowrót.

— Daje nam jakieś znaki, — zawołał Evans, i obydwaj z Ferrisem, nie oglądając się już na innych, podążyli do kolegi, który z widocznem przerażeniem biegł ku nim.

— Morderstwo, — krzyczał już zdaleka, — okropność! Tam leży pani Klimmer we krwi na podłodze, z straszną raną w głowie!

Adwokat Lard i pan Byrd oniemieli.

— Ach! — zawołał Ferris, zatrzymując się nagle, — gdzież jest ten człowiek, który tak mądrze rozprawiał o zbrodniach i o sposobie ukrycia swego czynu! To nie może być prostym przypadkiem, trzeba go natychmiast schwytać.

I skinął na młodego Byrda.

— Dalej, prędko, — mówił rozkazującym tonem, — idź pan po policyanta Honda, niechaj aresztuje tego czerwonowłosego garbusa. Tam zamordowano kobietę, a on musi o tem wiedzieć.

Byrd nie namyślał się ani chwili, Evans zaś, Orkut i obydwaj inni adwokaci zbliżyli się teraz do domu wdowy Klimmer.

Pierwszym, który wszedł, był Ferris, człowiek odważny, nie lękający się niczego w świecie. Za nim szli zwolna inni. Pierwszy pokój był próżny i nic nie zdradzało nieporządku lub walki. To był, jak się zdawało, pokój mieszkalny, na stole zaś leżał kapelusz Orkuta, tak, jak go tam adwokat wchodząc, położył. Mieszkanie wdowy było ładnie urządzone, a chociaż pani Klimmer żyła sama i nie trzymała nawet służącej, to jednak stosunki jej majątkowe dosyć były korzystne. Przez otwarte drzwi widać było zręcznie nakryty stół do obiadu.

— Otóż tam leży ona, — rzekł Orkut, wskazując w kąt przyległego pokoju.

Nieszczęśliwa leżała wyciągnięta na podłodze; z głębokiej rany w głowie płynęła obficie krew, w jednej ręce trzymała zegarek, który zwykle nosiła za paskiem, drugą dotykała nieomal kawała dębowego drzewa, jakie prawdopodobnie służyło mordercy za narzędzie zbrodni. Nieruchoma i sztywna zdawała się być już nieżywą.

— Okropnie! — zawołał Lard, cofając się mimowoli. — Jaka niegodziwość zabijać w ten sposób biedną, bezbronną kobietę!

Ferris także głęboko był wzruszony.

— Straszny przykład naszej poprzedniej rozmowy — szepnął. — Jak się to da wytłumaczyć?

I szybko otworzył przeciwległe drzwi, aby wpuścić świeżego powietrza do pokoju.

— Drzwi te nie były zamknięte? — zapytał Lard, zwracając się do Orkuta, który milcząc, wpatrywał się w nieszczęśliwą kobietę Musiał to być okropny widok dla niego. Tyle lat stołował się u niej, tyle razy siedział z nią przy jednym stole, a teraz biedna leży u nóg jego, zbroczona krwią i haniebnie zamordowana.

— Co pan mówiłeś, niezamknięte — odrzekł, podnosząc głowę. — Nic to dziwnego, ona nigdy ich nie zamykała, pomimo, że jej często o tem mówiłem przez wzgląd na słuch, który w ostatnich czasach zaczynała tracić.

Z drugiej strony domu leżał kawał nieuprawionego pola. Orkut obejrzał się uważnie.

— Nikogo nie widać — rzekł po chwili.

— Ucieczka przez bagno byłaby niemożliwą — zauważył Ferris. — Ten tylko, kto zna dokładnie całą okolicę wie, że istnieje wązka ścieżka, na której można iść bezpiecznie, a która wiedzie do lasu. Ale co się panu stało? — dodał żywo.

— Nic — odparł Orkut — zdawało mi się, że słyszałem jakiś jęk.

Ferris zbliżył się szybko do zamordowanej, podniósł jej głowę i spojrzał uważnie w twarz.

— Ona żyje! — krzyknął w najwyższem uniesieniu.

— Nie może być — zawołali wszyscy jednogłośnie.

— Oddycha, patrzcie panowie, pierś jej podnosi się zwolna — oh, złoczyńca, nie zna się na swem rzemiośle! Może usłyszymy od niej...

— Wątpię — przerwał Orkut — Uderzenie, jakie otrzymała, musiało być bardzo silne, a chociaż jeszcze żyje, to przytomności umysłu pewnie już nie ma.

— W każdym razie trzeba posłać po lekarza. Najlepiej po Fredwela.

— Biegnę natychmiast.

Orkut zbliżył się już do drzwi, ale w tej samej chwili otworzono je z drugiej strony i tłum ludzi, z doktorem na czele, wpadł do pokoju. Fredwel, będący lekarzem sądowym, kazał czemprędzej przenieść panią Klimmer do jej sypialni na łóżko i posłał po drugiego doktora. Wszyscy niepowołani świadkowie musieli dom opuścić, ale nikt nie myślał wracać do swoich zajęć. Ogród napełnił się ciekawymi, którzy za nic w świecie nie byliby opuścili stanowiska, czekając z największą niecierpliwością na to, jaki obrót cała ta sprawa weźmie.

W pokoju mieszkalnym tymczasem toczyła się poważna rozmowa pomiędzy Fredwelem a Ferrisem.

— Nie ulega wątpliwości — mówił adwokat — że otrzymała cios właśnie w chwili, kiedy chciała nastawić zegarek.

I wskazał na wielki; staroświecki, otwarty zegar, stojący w kącie pokoju.

— Nie mogła już wykonać zamiaru — dodał — zegar spóźnia się o dziesięć minut, tak podług mego zegarka, jak i podług tego, który pani Klimmer trzymała w ręku. Zbrodniarz musiał ją uderzyć z tyłu, i to zupełnie niespodziewanie. Gdyby się była obróciła, byłby ją uderzył w czoło — ponieważ była jednak trochę głucha, przeto nie słyszała kroków zbliżającego się mordercy i zajęta zegarem nie widziała ręki, wymierzającej cios okropny. Dziwna rzecz. Komu też mogło zależeć na śmierci tej biednej kobiety. Gdyby chodziło o kradzież, to nie zostawionoby jej zegarka. Na stole leży dosyć znyczna suma pieniędzy, które złodziej byłby przecież zabrał. Morderczy kawał drzewa wziął zbrodniarz z stosu, leżącego przed kominem. Myślę, że ów mały garbus, o którym panu już opowiadałem, jest mordercą. Może się wykaże, że on jest obłąkanym.

— Wątpię — odrzekł doktor zamyślony.

W ogrodzie dały się teraz słyszeć głośne krzyki, ludzie zasypywali ciekawemi pytaniami wracającego Byrda, który jednak szedł, nie odpowiadając nikomu

Byrd był zupełnie młodym tajnym policyantem, którego sprowadzono niedawno z Nowego Jorku, bo potrzebowano jego usług w celu wykrycia jakiejś niejasnej sprawy kryminalnej.

— No i cóż? — zapytał Ferris wchodzącego.

— Rudy garbus, jak pan go nazywasz, zniknął — odrzekł Byrd — może Hond zdoła go wyśledzić. Ale handlarza wędrującego, który tak szybko umykał, gdy zobaczył nas stojących przed sądem, kazałem aresztować, zdawało mi się bowiem, że to bardzo potrzebne.

— Myślisz pan? — zawołał Ferris z szyderczym uśmiechem, patrząc na ładną i dobroduszną twarz młodzieńca. — Więc uważasz go za winnego dlatego, że ów przebiegły nieznajomy zwrócił nam tak podpadającą uwagę na niego?

Byrd zmieszał się, ale zaraz potem odzyskał swój zwykły spokój.

— Nie znam jeszcze dokładnie tej sprawy — szepnął — i nie mogę chwilowo nikogo o morderstwo posądzać.

— Popełniono je zupełnie tak, jak ów garbus mówił — zawołał Ferris. — Pani Klimmer została zamordowaną w chwili, kiedy chciała ustawić zegar. Uderzono ją z tyłu — tam leży ów kawał drzewa, wzięty z przed komina. Straszna teorya zamieniła się zaraz w praktykę.

— Ile czasu mogło upłynąć pomiędzy morderstwem a odkryciem go?

— Nie wiele, potrawy w kuchni były zupełnie jeszcze gorące, zupa dymiła w wazie!

— W takim razie mogę zaręczyć, rzekł Byrd śmiało, że garbus nie jest mordercą. Bytność jego tu w pokoju byłaby przecież konieczną, a ja widziałem go na własne oczy na sali sądowej, podczas całego posiedzenia. Siedział on blizko drzwi i podpadł mi zaraz!"

— Dziwna rzecz! mruknął Feris rozgniewany. Uchodził on chętnie za nieomylnego.

— Ależ to tak blizko, zauważył sędzia. Tylko przez ulicę, jak łatwo mógł się na chwilę oddalić, a pan wcale tego nie spostrzegłeś!

Byrd milczał.

— Mnie się zdaje, rzekł po chwili, że handlarz jest więcej podejrzaną osobą.

— On nie zostawiłby tu tych pieniędzy, zawołał Feris.

— Kto wie, co go zmusiło do ucieczki zanim mógł się dokładnie za łupem obejrzeć! Ja w każdym razie jestem przekonanym, że handlarz więcej nam sprawi kłopotu, niż ów rudy garbus.

I pożegnawszy obydwóch panów grzecznym ukłonem, wyszedł Byrd z pokoju.

— Może być, że on ma słuszność, szepnął Feris. A jednak — garbus musi być albo prorokiem lub jasnowidzącym, albo — wiedział już o tej zbrodni!

Lekarz skinął głową potwierdzająco.

ROZDZIAŁ DRUGI.

Ostatnie słowa.

Od chwili, w której położono panią Klimmer na łóżko, minęło półtorej godziny, a nieszczęśliwa jeszcze przytomności nie odzyskała. Oprócz lekarza siedziało przy niej kilka sąsiadek, wszyscy zaś czekali niecierpliwie na pierwszy, silniejszy objaw życia, bo dotąd, oprócz lekkiego oddychania, żadna nie zaszła zmiana.

— Nie ma nadziei, — szepnął nareszcie doktor, — twarz zaczyna już przybierać trupią bladość,

W mieszkalnym pokoju rozmawiał Ferris z Orkutem o stosunkach majątkowych i familijnych wdowy. Orkut widywał ją codziennie, mógł więc najlepiej być poinformowanym. W ogrodzie czekały zawsze jeszcze tłumy ludzi na wiadomości z „góry"; jedni sprzeczali się o to, kto wdowę zamordował, czy handlarz, czy garbus, inni sądzili, że rana nie jest śmertelną, że wszystko będzie dobrze, i że pani Klimmer sama wymieni nazwisko zbrodniarza.

Byrd, oparty o płot, zdawał się nie słyszeć tego, co mówiono, i zajmował się na pozór własnemi swemi myślami. Nagle rozległ się głośny krzyk, po którym ogólna nastąpiła cisza, i teraz dał się słyszeć miękki, dźwięczny głos kobiecy.

— Czy to prawda — pani Klimmer zamordowana w swym pokoju? Odpowiadajcie, na Boga!

Oczy wszystkich zwróciły się na pytającą, która biegła od strony ulicy. Byrd zauważył, że tłum ustępował miejsca, i że młoda kobieta zbliżyła się teraz aż do progu. Była to bardzo piękna dziewczyna, licząca najwyżej lat dwadzieścia, wysoka, wysmukła, ubrana skromnie, ale gustownie, chociaż w tej chwili nie miała ani kapelusza ani parasolki. Rękawiczki trzymała w białych, delikatnych palcach.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Miłość, Wiara, Nadzieja.

Kiedy mi dzieckiem, śmiało się życie,
Strojne i kwieciem — matki pieszczotą,
I tą wolnością płochą a złotą,
Jam kochał wszystko, w dni mych rozkwicie,
Garnął ku sobie dziecięcą dłonią,
I kochać uczył z dziejów przeszłości,
I dumny byłem z mojej miłości,
Polską i Rusią i tą Pogonią!...

Kiedy wiek męzki biegł rok za rokiem,
Miłość wraz z Wiarą z sobą złączyłem,
I wierząc, w trudzie szczęśliwy żyłem,
W przyszłość pogodnem patrzyłem okiem,
Że przecież Bóg się nam ulituje,
Ojczyznę-Matkę z więzów uwolni,
I wstaniem wielcy i wstaniem wolni,
I nic nam szczęścia już nie zatruje! —

Dziś — kiedy głowę bieli włos biały,
I dzień mnie każdy zbliża mogile,
Gdy się zawodów przetrwało tyle,
Miłością, wiarą, żyło wiek cały —
Toć gdy mi słonko złote jaśnieje,
Silny na duchu, ufam w pokorze,
Że się zlitujesz nam wielki Boże,
Z Miłością — Wiarą — niosę Nadzieję!

An. An.

Kronika.

Czas ogórkowy nadszedł i byłaby cisza w świecie i w polityce, gdyby nie „żółte twarze“ zakłóciły były spokoju i gdyby raz po raz nie donoszono, że w dalekiej Afryce walczy dzielny szczep, wprawdzie germańskiej krwi, przeciwko chciwej zaborów Anglii. Anglia walczy w imię kultury, Burowie bronią swej wolności. Czego się to nie robi w imię tej kultury? Iluż to nie nadużywa tego hasła? Kto się rozejrzy u nas, znajdzie na to tyle dowodów, że tomy możnaby spisać, ile to pomysłów rodzi się w głowach Hakaty także w imię kultury. — Lecz dajmy pokój temu, zostawmy rozbieranie tego przedmiotu politykowi „Pracy.“

Polityk jest w tegorocznym sezonie ogórkowym w szczęśliwem położeniu, nie potrzebuje wymyślać różnych kombinacyi, mogących na wiosnę przyszłego roku wstrząsnąć światem, ponieważ ma gotowy materyał w wojnie toczącej się w Chinach. Kronikarz zazwyczaj poluje na „kaczki“, albo na „węża morskiego“, albo też opisuje napowietrzne okręty pomysłowych i wytrwałych aeronautów, lub też donosi o Andréem, raz, że na pewno zginął, drugi raz, że znaleziono słabe ślady, że żyje, a wreszcie, że napewno go odnaleziono. Takie wieści rozbudzają czytelnika z senności wśród upałów lipcowych, których nie wiem, czy na szczęście u nas przynajmniej dotąd niema.

Mógłbym i ja wymyślić jaką bajeczkę, ale podpis mój „Verus“ — prawdziwy, zabrania mi puszczania bajek, co dowodzi, że złe wybrałem imię dla kronikarza.

Obrawszy je raz trzeba się trzymać prawdy. Dowiodę tego, referując krótko o zebraniu Towarzystwa antyhazardowego, które odbyło się w hotelu francuzkim dnia 6 lipca pod przewodnictwem Patrona Kółek włościańskich p. Maksymiliana Jackowskiego.

Powiem prawdę, pisząc, że dyskusya mię zadowoliła, bo była ożywioną i wnikała w jądro rzeczy; zadowoliły mię także wnioski podane przez zarząd. O co chodzi? Chodzi o to, aby członkowie werbowali członków, aby było jak najwięcej takich, którzy gry hazardowej się wyrzekają i innych odciągają. Utrafiono w jądro rzeczy, bo zwrócono się do kobiet, jako opiekunek dorastającego pokolenia, aby one baczyły pilnie na synów. Od młodu drzewko prowadzić trzeba, aby nie wybujały złe skłonności. Baczyć trzeba, aby w domu kartami się nie bawiono, bo czem skorupka za młodu się przejmie, tem na starość trąci.

Lecz młodzież żądna rozrywki, i ma prawo do niej. Czyż istotnie nie ma innych sposobów uprzyjemnienia sobie chwil wolnych jak tylko kartami? Chodzi tu głównie o młodzież szkół wyższych i średnich. Wiem bardzo dobrze, że w tych kołach kwitnie preferansik, wincik, a czasem i hazardowa gierka. Zamiast trwonić czas na tej grze, zamiast siedzieć w dusznym pokoju, młodzież powinna uprawiać rozmaite sporty, a więc jazdę na kole, żeglarstwo, ćwiczyć się w rozmaitych grach w piłkę.

Chłopcy dobrze pomęczeni wykonywaniem jednego z tych sportów, ani nie pomyślą o grze. A jaki ztąd będzie pożytek dla ciała, ducha i duszy! Hart męzki, odwaga, zręczność, oto piękny owoc tych ćwiczeń cielesnych. Lecz są jeszcze inne sposoby rozrywki. Jesteśmy bardzo do muzyki uzdolnieni, mamy „dobry słuch“, a jak nie wielu tylko mężczyzn, gra na flecie, skrzypcach, wiolonczeli lub fortepianie? — Zato znakomicie potrafimy grać na szkle i dawać koncerta przy zielonym stole.

Matek więc rzeczą dbać o to, aby młodzież umiała się rozerwać i nie szukała rozrywki w grze kartami.

Ponieważ wpadłem na temat pożytecznego spędzania wieczoru, więc zwrócę uwagę na Towarzystwo teatrów amatorskich“, które się teraz zawiązało. Trudno dziś osądzić, jak to Towarzystwo rozwijać się będzie. Cel w każdym razie ma szlachetny, pragnie bowiem odciągać młodzież od kufelka i od kart. Dlatego przyklasnąć należy tej myśli.

Widać tylko, że brak Towarzystwu doświadczonego kierownika, a widać to z bardzo niefortunnie wybranego repertoaru. Na repertoarze wymieniona np. sztuka „Furman Henschel.“

Mojem zdaniem sztuka ta nie nadaje się zupełnie dla teatrów amatorskich z mało wyrobionemi siłami. Jest to sztuka, której trudności pokona zaledwo rutynonowany artysta. Takich trudności jest więcej w repertoarze.

Towarzystwo niepotrzebnie sobie przyczynia trudności i naraża usiłowania na szwank, wybierając sztuki nadto trudne. Lepiej było zajrzeć do lekkiej komedyi i farsy.

Zwracam Towarzystwu uwagę np. na sztuki Abrahamowicza i Ruszkowskiego i innych autorów tego kierunku. Są to zadania łatwiejsze, rozwięzując je nabierze się wprawy i przysposobi się do wykonywania trudniejszych.

Podobnym celom służy Tow. „Sokół,“ ma ono, tak jak i Tow. antykarciarskie przeszło trzystu członków. Iluż jednak wśród nich jest gorliwych? Iluż jest tylko dla zwyczaju? Wiem, że tak jak przewodniczący antyhazardzistów użalał się na pewną obojętność wśród swych szeregów, tak i naczelnik „Sokoła“ żali się, że tak mała tylko liczba druhów ćwiczy. A tu zlot ogólny się zbliża. Ile wiem, zlot ten odbędzie się w połowie sierpnia. Czy szyki gimnastyków poznańskich będą liczne i czy będą dobrze wyćwiczone, trudno wiedzieć. Nie wątpię jednak, że gorliwość naczelnika rozgrzeje druhów tak, że Poznań stanie na ćwiczni z pokaźnym zastępem i nie pozwoli się zawstydzić innym gniazdom. Podobno łatwo mu to przyjdzie, ponieważ z innych gniazd dochodzą również skargi na brak gorliwości w ćwiczeniach.

Taki zlot wymaga dużo przygotowań. Trzeba się starać o kwatery, trzeba pomyśleć o ćwiczni.

Nawiasem dodaję, że ostatni ogólny zlot udał się znakomicie mimo najróżniejszych trudności zewnętrznych i wewnętrznych, ale druhowie podobno też więcej okazywali zapału dla sprawy gimnastycznej. Miejmy nadzieję, że obecny zlot dorówna ostatniemu, a może go nawet przewyższy. Tak być powinno, bo nie cofać się sokolstwo powinno, lecz iść naprzód.

Takie zloty są konieczne, bo one przekonują więcej niż wszystkie zapewnienia i dowodzenia w pismach władz, że jedynym wyłącznym celem sokolstwa jest gimnastyka.

Ja szczerze życzę, aby zlot się udał. Czołem!

Podam jeszcze choć w krótkości, że tym razem „Wydział Kolonii wakacyjnych Tow. Stella“ umieścił na czas wielkowakacyjny 275 dzieci szkolnych. Sto na stałej Kolonii w Kobelnicy, 175 w domach obywatelskich, otwierających gościnne podwoje dla dziatwy. Przypadkowo byłem na kolei i obserwowałem dość długo ekspedyowanie dzieciarni. Pocieszny to był widok; na twarzach malowała się radość, że wreszcie wyjeżdżają, a z drugiej strony przestrach, aby się nie spóźnić na pociąg. To też co chwila przybiegały dzieci do panów ekspedyujących z zapytaniem: — Kiedy odchodzi pociąg? — Masz czas — jeszcze godzina! — Chłopczyna cofał się znowu do gromadki i medytował pewno, czy aby ten pan się nie myli. Ale podobno wszystko gładko poszło. *Verus.*

Wiadomości literackie.

„Boerzy i Krüger. Zarys dziejów Transwalu. Z angielskiego streścił i wstępem uzupełnił Zygmunt Słupski. (Z portretem i podpisem Krügera oraz 8 innymi portretami i mapą). Poznań 1900. Księgarnia Polska (W. Tempłowicz). Czcionkami Druk. „Dziennika Pozn.“

Pod powyższym tytułem świeżo opuściła prasę starannie wydana książka o 140 str., której treść nader zajmująca, język czysty, styl jędrny i barwny, illustracye dobre.

Wstęp poświęcony opisowi Afryki, a w szczególności Transwalu pod względem geograficznym, ekonomicznym, społecznym i t. d. Są tam między innemi ciekawe szczegóły co do kopalń brylantów i złota — kopalń najbogatszych na świecie.

Co zaś do samej historyi, to w przedmowie słuszną znajdujemy uwagę, że „od każdego można się czegoś nauczyć — jeżeli nie: jak i co robić, to przynajmniej: jak i czego nie robić.“ Istotnie bowiem historya bohaterskich Boerów smutna, ale ciekawa i pouczająca, tembardziej, że nieraz do naszych losów podobna.

W każdym razie możemy tylko gorąco polecić naszym Czytelnikom to dziełko, a nawet w razie żądania chętnie jego dostarczenie ułatwimy za nadesłaniem ceny 2 m.

Nie wątpimy też, że ta jedyna w swoim rodzaju książka polska, dotycząca Transwalu, wkrótce się rozejdzie; zwłaszcza, iż z powodu chylącej się już do upadku sprawy Boerów, tylko w paruset egzemplarzach została odbitą, więc z czasem należeć będzie do rzadkości. *X.*

Nasze illustracye.

Rynek w Bieczu. Illustracya na stronie 747-ej przedstawia rynek w Bieczu i odbywający się na nim targ. Biecz jest miastem w wschodniej Galicyi, położonem nad rzeką Ropą, poboczną rzeką Wisłoki i nad linią kolei państwowej — Grzybow-Nowy Zagorz — liczy jako gmina 4,000 mieszkańców, przeważnie Polaków, ma sąd okręgowy, urząd celny i piękny kościół farny zbudowany w stylu gotyckim, w którym się znajdują godne widzenia starożytne pomniki. Biecz posiada nadto zamek (teraz klasztor Reformatów) i bogato wyposażony miejski dom ubogich. Biecz należy do najstarszych miast Polski, był niegdyś królewskiem wolnem miastem, które jako t. zw. „parva Cracovia“ współubiegało się przez wieki całe co do bogactwa z Krakowem. Ze starych murów i wałów, okalających miasto, pozostały jeszcze szczątki. Biecz jest miejscem urodzenia kronikarza Marcina Cromera. *B. R.*

Od Wydziału sekcyi kwaterunkowej Towarzystwa gimn. „Sokół“ w Poznaniu otrzymujemy z prośbą o zamieszczenie następującą

Odezwę:

„Lat kilka mija od chwili, gdzie Sokolstwo polskie w obrębie granic rzeszy niemieckiej składało w Poznaniu owoce swej pracy, gdzie udowodniło, iż godnem jest poparcia społeczeństwa.

„Mieszkańcy grodu Przemysława witali wówczas chętnem sercem drużyny sokole i nie skąpili im staropolskiej, wylanej gościnności.

„To też dzisiaj, gdy z ramienia „Związku“ zapowiedziany jest *drugi powszechny Zlot na 11-go i 12-go sierpnia b. r.* odzywamy się z ufnością do Obywateli i Obywatelek miasta Poznania „przekonani o tem, iż nasza *prośba o kwatery* dla drużyn sokolich nie przebrzmi bez echa i że kto tylko może ugości u siebie Sokoła; druh Sokół nie ma pretensyi i wdzięcznem sercem przyjmie to „czem chata bogata“.

„Pożądane są nam na jedną dobę dwa rodzaje kwater: bezpłatne, gdzie Sokół korzystać będzie z gościnności gospodarstwa i płatne, za które Towarzystwo nasze odpowiada z istniejącego już na ten cel funduszu zlotowego.

„*Zgłoszenia przyjmuje* każdego czasu druh *Karol Rzepecki* we wszystkich składach firmy *Wichrowski & Święcicki.*

„Ufamy, iż Poznańczycy udowodnią, jakto „tradycyjna staropolska gościnność“ nie stała się pustym frazesem! Czołem!

Komisya zlotowa.
Przewodniczący komisyi kwaterunkowej.
Karol Rzepecki.“

Jeszcze wciąż można zapisywać „PRACĘ“ na bieżący kwartał.

W obrębie państwa niemieckiego jest *każda poczta i każdy listowy tak na wsi jak i w mieście zobowiązany* do przyjęcia abonamentu, który wynosi na kwartał

tylko 1 markę.

Kto więc dotąd „Pracy“ nie zapisał, niech wpłaci na poczcie bezzwłocznie

tylko 1 markę,

a dostawać będzie pismo nasze do końca kwartału w każdą niedzielę.

Pierwsze numera z bieżącego kwartału dostarczymy każdemu nowo przybyłemu abonentowi za nadesłaniem na porto znaczka listowego dziesięciofenygowego.

„Praca“ zapisaną jest na poczcie pod rubryką II t. Nr. 86.

Jeszcze w bieżącym miesiącu załączymy do „Pracy“ piękne obrazy albumowe, a między niemi Herb Polski w kolorach, Polonię Styki i obraz Kościuszki. Każdy z tych obrazów przewyższy wartość abonamentu.

☞ **Początek drukujących się powieści, mianowicie „Krwawy chrzest“, „Sąd Boży“ itd., otrzyma każdy nowoprzybyły Czytelnik bezpłatnie, jeżeli nam nadeśle kwit abonamentowy z poczty i 30 fen. w znaczkach na porto.**

Wszystkich tych Czytelników, którzy reklamują u nas zaległe numera „Pracy“, upraszamy o przysłanie na porto znaczka listowego dziesięciofenygowego.

Wciąż można jeszcze zapisywać

„Czytelnię Polską“,

która kosztuje kwartalnie

☞ ***tylko 50 fenyg.*** ☜

W Galicyi i wogóle w Austro-Węgrzech

30 centów,

(a pod opaską 1 mr. czyli 60 cent.)

„Czytelnia Polska“ zapisaną jest na poczcie pod rubryką „Nachtrag 5 t. 13 a.“

Kto raz „Czytelnię Polską“ zaabonuje, ten zostanie już stałym jej czytelnikiem.

„Czytelnia Polska“ wychodzi

☞ **co tydzień** ☜

w formacie książki w objętości 24—32 stron i więcej, z pięknemi illustracyami i t. d.

Wszystkie zaległe zeszyty „Czytelni Polskiej“ od 1-go lipca otrzyma każdy nowoprzybyły Czytelnik bezpłatnie jeśli nam nadeśle kwit abonamentowy z poczty i znaczek dziesięciofenygowy na porto.

☞ **Pierwszy kompletny kwartalnik „Czytelni Polskiej“ otrzyma każdy z nowoprzybyłych Abonentów, jeżeli nam nadeśle w znaczkach pocztowych 70 fenygów franko.**

☞ **Nowo przybyli Abonenci na „Czytelnię Polską“, zamieszkali w Galicyi i wogóle w Austro-Węgrzech, niech zechcą nadesłać na pierwszy kompletny kwartalnik „Czytelni Polskiej“ franko do Administracyi „Czytelni Polskiej“ w Poznaniu, ulica Rycerska nr. 38, 35 centów w pieniędzach, gdyż znaczków austryackich zużyć tutaj nie możemy.**

Wiadomości.

Agentura „Pracy“ i „Czytelni Polskiej“ na Opole i okolicę znajduje się w ekspedycyi „Gazety Opolskiej“. Zwracamy na to baczną uwagę tamtejszym Czytelnikom.

Do skompletowania kwartalników są nam potrzebne numera 26 i 27 z b. r. — Szanownych Czytelników prosimy o nadesłanie nam tychże, a wywdzięczymy się im za to w inny sposób.

Wszystkich Czytelników upominających się o jakiekolwiekbądź numera czy to „Pracy“, czy też „Czytelni Polskiej“ prosimy o nadesłanie nam na porto znaczka pocztowego, w przeciwnym razie życzeniom ich zadość uczynić nie możemy.

W sprawie teatru polskiego w Poznaniu wystąpił w obronie dyrektora p. Rygera p. mecenas Woliński z Poznania w liście, przesłanym „Kuryerowi Polskiemu“:

„Czytając tylko korespondencyę z Poznania, umieszczoną w No. 170 „Kuryera Polskiego“, możnaby nabrać tego przekonania, że wyrażona tam niekorzystna opinia o działalności p. Rygera jest opinią ogółu.

W interesie więc i p. dyr. Rygera i teatru polskiego w Poznaniu wreszcie i prawdy zaznaczyć muszę, że tak nie jest i że bardzo poważna część publiczności, jak się umyślnie od 16-go czerwca do dziś dokładnie informowałem, jest tego zdania, że zarzuty w tej formie p. Rygerowi czynione, nie są uzasadnione i że nie słusznem jest twierdzenie, jakoby nadzieje, jakie w p. Rygerze pokładaliśmy, zupełnie zawiodły.

Co do finansowej strony, to wprost krzywdą jest dla p. Rygera twierdzenie,

że p. Ryger uważa teatr tylko za dojną krówkę. Do zarzutu tak ciężkiego nie ma wcale dostatecznej podstawy. Ze dochody teatru w tym roku były dwa razy takie jak w innych latach, to cieszyć się z tego trzeba, że się wreszcie skończyła licha finansowa gospodarka, jaka była za innych dyrektorów; bankrutował przecież jeden po drugim, a co do propozycyi, by po upływie kontraktu z p. Rygerem we wrześniu 1902 r. Spółka wzięła teatr na swój rachunek, to chyba najkompetentniejszym do ocenienia tej propozycyi był dyrektor banku związku spółek zarobkowych i długoletni przewodniczący dyrekcyi spółki teatralnej, p. dr. Kusztelan, który na walnem zebraniu powiedział, że po poczynionych doświadczeniach i doznanych zawodach, stanowczo się przeciw temu oświadcza.

Szkoda, że p. Ryger nie wiedział, jakie zarzuty będą mu na walnem zebraniu robione, boby mógł był na takowe za zgodą dyrekcyi przybyć, aby dawać odpowiednie wyjaśnienia.

W porozumieniu z kilku wybitnymi obywatelami grodu naszego uważałem za konieczne powyższe uwagi Szanownej Redakcyi przesłać, by p. dyr. Ryger przy swym 25-letnim jubileuszu aktorskim nie miał powodu przypuszczać, że publiczność poznańska skąpi mu szczerego i zasłużonego uznania tyloletniej jego pracy.

Z wysokim szacunkiem sługa powolny
Woliński, adwokat."

Na fundusz jubileuszowy dla Józefa Chociszewskiego nadesłał w dalszym ciągu ks. dr. Thokarski, proboszcz z Pogódek, (Prusy Zachodnie) 40 marek, które złożyli: X. Dziekan Trątowski ze Zblewa 10 mk., X. Prob. Kręcki ze Starej Kiszewy 10 mk., X. Prob. Lipski z Garczyna 10 mk., X. Prob. Dr. Thokarski z Pogódek 10 mk. Razem złożono dotąd 124 mrk. 23 fen.

Dalsze datki na cel powyższy przyjmujemy chętnie.

Na fundusz jubileuszowy Henryka Sienkiewicza złożyli w dalszym ciągu: pp. T. M. Głowacki 75 fen. F. Horowski 25 fen. Wojciech Bręskiewicz 25 fen. F. Patan 25 fen. i panna M. Radomska 25 fen. wszyscy z Opalenicy — razem 1 mk. 75 fen.

Dalsze składki na ten cel przyjmujemy chętnie.

Wiadomości kościelne urzędowe. X. Leonowi Przybylskiemu powierzono w komendę I kanonią przy kolegiacie św. Maryi Magdaleny w Poznaniu od 1 lipca r. b. Dnia 26 go czerwca r. b. otrzymał X. pleban Wysocki z Goliny kanoniczną instytucyą na beneficyum w Ludomach. — Tegoroczne wakacye konsystorskie trwać będą od 16 lipca do 27 sierpnia. Tylko sprawy niecierpiące zwłoki i noszące w nagłówkach oznaczenie: sprawa feryjna, załatwiają się w tym czasie. — Rekolekcye dla kapłanów odbędą się w tym roku równocześnie w seminaryum gnieźnieńskiem i poznańskiem w języku polskim od 10 do 14 września; nadto od 17 do 21 września w języku niemieckim w seminaryum gnieźnieńskiem, a w języku polskim w seminaryum poznańskiem.

W uroczystość św. Piotra i Pawła, 29. z. m. następujący księża naszych archidyecezyi obchodzili 25 letni jubileusz kapłaństwa:
1) Ks. Walenty Cieśliński, proboszcz z Lubasza.
2) Ks. Maxymilian Drożdżyński, prob. z Sremu.
3) Ks. Felix Laudowicz, proboszcz z Kwilcza.
4) Ks. Franciszek Maj, proboszcz z Turska.
5) Ks. Leon Piotrowski, prob. z Konarzewa.
6) Ks. Karól Sejchter proboszcz z Wir.

„Ad multos annos!"

— **W tych dniach** wyjdzie drukiem broszurka zawierająca „Opis wieca kobiet wielkopolskich" oraz wszystkie głosy mówczyń wiecowych.

Cena broszurki 10 fen.; 10 egz. 1 mk. z przesyłką 1,30 mk., 25 egz. 2 mk., z przesełką 2.50 mrk., 50 egz. 4 mrk. z przesełką 4,40 mk.

Zamówienia jak najwcześniejsze wraz z odnośną kwotą prosimy przesyłać łaskawie na ręce p. Janiny Omańkowskiej, ulica Wiedeńska nr. 10. Komitet.

Zamówienia na broszurki otrzymałyśmy od p. Nowaka stud. teol. egzemplarzy 50, od ks. proboszcza Zinglera z Żytowiecka egzemplarzy 50.

Zwracamy baczną uwagę Szanownych Czytelników na polską fabrykę kołowców pana F. Gumiennego w Poznaniu przy ul. Rycerskiej nr. 2 i polecamy przedsiębiorstwo to naszego pracowitego i rzutkiego rodaka względom Publiczności. (Patrz inserat w dziale ogłoszeń.)

Zakład ogrodniczy p. J. Witkowskiego w Starem Łąkie nad Obrą w Poznańskiem poleca wysadki truskawek i jagód w największych i najlepszych odmianach, rodzące nawet w zimie. Jest wogóle do wyboru kilkadziesiąt gatunków najprzedniejszych flanc. — Uwagę baczną panów ogrodników, hodowców owoców itp. zwracamy na odnośny inserat; niech się zgłoszą z zamówieniami z całem zaufaniem do p. Witkowskiego, a nie zawiodą się pomni na słowa poety:

„Cudze chwalicie, swego nie znacie,
„Sami nie wiecie, co posiadacie."

Żnin. Kółko śpiewu w Żninie urządza doroczną majówkę połączoną z śpiewem strzelaniem, wyścigami, aukcyą wielkiego koguta i t. p. **w Niedzielę dnia 15 lipca br.** w boru Sobiejuch.

Wymarsz z miasta o $^1/_2$ 2-giej godzinie w południe. Po majówce zabawa na sali p. Bukowskiego w Żninie.

Goście mile widziani. Zarząd.

Kwilcz, 2go lipca. Wczoraj odbył się tutaj uroczysty obchód jubileuszowy 25-letniego kapłaństwa księdza proboszcza Feliksa Laudowicza. Od godziny dziesiątej zrana poczęto składać X. Jubilatowi życzenia i różne dary. Dozór kościelny przez swego przewodniczącego składając wymowne życzenia, ofiarował srebrną tacę, dwa srebrne lichtarze i cukierniczkę. Ordynat i poseł hrabia Hektor Kwilecki, który przybył z żoną, dziećmi i z ojcem, sędziwym hrabią Mieczysławem z Oporowa, złożył serdeczne życzenia w imieniu całej rodziny hr. Kwileckich i w darze prześliczny, wielkiej wartości sztuciec srebrny stołowy na 18 osób, z odpowiednią dedykacyą. Złożyli jeszcze p. Rutkowski z Ławicy srebrną kropielniczkę z płaskorzeźbą, przedstawiającą Matkę Boską z Dziecięciem Jezus, i komisarz okręgowy p. porucznik Klewe dwa mniejsze puhary. Składali powinszowania jeszcze inni, a między nimi p. K. Stablewski z Mościejowa. Rozrzewniony Jubilat dziękował każdemu serdecznie.

O godzinie jedenastej odbyła się w kościele uroczysta msza św., którą odprawił X. Jubilat w asystencyi kapłanów.

O godzinie 2 po południu zasiadło do stołu około 40 osób z obywatelstwa, księży, reprezentantów parafii i inteligencyi. Zdrowie X. Jubilata wzniósł najprzód patron hr. Hektor Kwilecki, podnosząc w dłuższem przemówieniu, że X. Jubilat 23 lata był w jednem miejscu, Kwilczu, gdzie sobie zjednał powszechny szacunek i ogólną miłość; że nieraz w czasie walki kulturnej siedzieć musiał w więzieniu za to, iż sprawował obowiązki tam, gdzie nie było księdza. — Następnie dawny profesor i przyjaciel X. Jubilata skreślił żywo i humorystycznie jego charakter w czasie pobytu w gimnazyum śremskiem, które ukończył w roku 1872 na św. Michał, złożywszy popis dojrzałości. Wstąpiwszy do seminaryum duchownego w Poznaniu, musiał je opuścić po jego zamknięciu. Kształcił się dalej w Innsbruku w Tyrolu, a w Brixon został wyświęcony na kapłana.

Na mowy odpowiedział X. Jubilat, dziękując hr. Mieczysławowi Kwileckiemu i swemu patronowi hr. Hektorowi, wogóle całej rodzinie za względy i życzliwość, jakich od niej doznał. — I my wyrażamy na tem miejscu życzenie, by X. Jubilat w tej rzeźkości ducha i ciała doczekał się złotego jubileuszu.

Parlin. W dzień śś. Piotra i Pawła o godzinie 12 min. 5 gruchnęła lotem błyskawicy smutna wiadomość po parafii naszej i Chomiązkiej, że nasz wielce szanowany, ukochany i nieodżałowany ś. p. ksiądz proboszcz Szubert, senior dekanatu naszego, opatrzony św. Sakramentami swój żywot doczesny zakończył. Wieść ta, niestety, była prawdziwą. S. p. ks. prob. Szubert był mężem prawego charakteru, spokojnym pracownikiem nietylko na niwie kościelnej, ale i w narodowo społecznych sprawach naszych. Przez blizko lat 45 był czułym ojcem duchownym parafian i prawdziwie dobrym ich doradzcą w niejednej niedoli.

O zacności i uprzejmości śp. ks. Proboszcza i to świadczyć może, że prawie wszyscy, ewangelicy i żydzi mieszkający w Parlinie, brali udział w pogrzebie i okazywali również żal niekłamany. R. i. p.

Śmigiel. Walne zebranie Tow. organistów na dekanaty Śmigielski i Kościański odbędzie się w Kościanie na sali hotelu „Wiktorya" w czwartek, dnia 19-go lipca 1900 o godz. 3 po południu.

Przewielebne Duchowieństwo i Szan. Kolegów Towarzystwu życzliwych jak najuprzejmiej zaprasza Zarząd.

Z dyecezyi chełmińskiej. Dnia 4-go bm. odprawił prymicye ks. dr. Gustaw Działowski w Mgowie. Zjazd na tę uroczystość tak ze strony kapłanów jak też obywatelstwa był liczny. Po uroczystości kościelnej podejmowali gości rodzice księdza prymicyanta ze staropolską gościnnością.

Paryż. Korzystając z wystawy powszechnej i z obecności w Paryżu licznych rodaków, życzących poznać się i zawiązać bliższe stosunki, Stowarzyszenie byłych uczniów szkoły polskiej w Paryżu urządza na dzień popisu szkolnego, 1 sierpnia 1900, o godzinie 7 i pół wieczorem, obiad składkowy w salonach Dehouve, Avenue de la Grande Armée 74 i 76, o czem zawiadamiamy osoby, które w tym czasie mogłyby się znaleźć w Paryżu, prosząc je, aby raczyły wraz z rodzinami wziąść udział w tym wspólnym obiedzie, jako też zaszczycić swoją obecnością uroczystość popisu szkolnego, który się odbędzie o godzinie 2 po południu, rue Lamandé 15.

P. S. Są do nabywania (po 6 fr.) karty obiadowe pod adresem T. Szrettera, rue Lamandé 15. W imieniu zarządu:
Komisya urządzająca: Edward Pożerski. Józef Piechowski. Artur Gierzyński. Wacław Gasztowtt. Teodor Szretter.

Zmarli:

† Dnia 3 bm. w Poznaniu Olga Zboralska z Zantopów.

† Dnia 3 bm. w Mirosławicach w Poznańskiem Julian Reichstein, weteran z roku 1863 i więzień Moabitu.

† Dnia 6 bm. Edmund Trzeciak, kleryk seminaryum duchownego w Poznaniu, w 20-ym roku życia.

† Dnia 8 bm. Władysław Różycki, inżynier fabryki Tow. akcyjnego H. Cegielski w Poznaniu, w 33-im roku życia. N. o. w p!

Od Redakcyi.

Panu W. El. w Krakowie. — Najuprzejmiej dziękujemy.

F. J. Berlin. — Księgarnia polska Tempłowicza w Poznaniu, hotel Francuzki.

Panu Bolesławowi Hoffmanowi w Saint-Cloud pod Paryżem. — Prenumerata półroczna 5 marek, o których nadesłanie prosimy.

Panu Pawłowi B. w Essen. — Zakład dla akuszerek na Grobli w Poznaniu. Dyrektor Dr. Toporski (Niemiec). Jest to zakład prowincyonalny niemiecki, w którym się także odbywają wykłady po polsku dla kandydatek Polek. Specyalnego zakładu polskiego dla akuszerek nie znamy.

Panu A. T. w G. pod Trzemesznem. Udaj się Pan w tej sprawie z odwołaniem się na „Pracę“ do Banku parcelacyjnego na Piekarach nr. 18-ty w Poznaniu lub też do Spółki parcelacyjnej w Poznaniu, ul. Wilhelmowska nr. 18-ty. Innej rady Panu udzielić nie możemy.

H. A. K. Wrocław. Życzone numera wyczerpane.

P. Józef Solarz, Grzymałów, Galicya. Nr. 26 już nie mamy.

P. Zofia Stamper, Itzkany Bukowina. Pani Helena Rzepecka Poznań, Piekary 7.

P. J. Fuliński, Skomielna biała, Galicya. Za zjednywanie nam abonentów serdecznie dziękujemy.

P. W. Grodzki, Berlin. Zażaliliśmy się u dyrekcyi poczty w Berlinie.

P. Piotr Biel, Kraków. Numera wiadome i egz. do rozdania wysłaliśmy natychmiast. Paczka z pewnością leży na tamtejszym urzędzie cłowym. Początki powieści wysłaliśmy p. H. M. w osobnej kopercie.

Pana Zygm. Radomskiego w Reklinghausen, Westf. upraszamy o podanie bliższego adresu, tj. ulicy i numeru, gdyż wysłane początki powieści i egzempl. „Pracy“ poczta nam zwróciła.

Panu Udr.... w Piekarach, Galicya. Pan Siemiątkowski dziękuje najserdeczniej za wyrazy współczucia etc. Artykuł otrzymał — na razie umieścić go nie mogliśmy dla braku miejsca, ale w najbliższym czasie ogłosimy.

Panu Zm.... w Suchej, Galicya. Zastosujemy się na przyszłość do Jego życzenia.

Panu Romanowi D. w Kruświcy. Prosimy o 30 fen. na franko. — W księgarni polskiej Tempłowicza w Poznaniu, hotel Francuzki.

Bezstronnemu. Racya. Takie zaoczne potępienie pracowitego człowieka, który w każdym razie niemało zasłużył się około rozwoju naszej sceny i zapewnienia jej bytu materyalnego i otworzył do niej podwoje ludowi, nie było wcale na miejscu. Na razie piszemy w tej sprawie w rubryce p. t. „Przegląd prasy“ i zamieszczamy między „Wiadomościami“ list mecenasa p. Wolińskiego.

Panu Pietr.... w Sokolnikach. Ogród zoologiczny w Poznaniu.

S. S. A. w Wrocławiu. Prośby i życzenia Panów o ile możności uwzględniać będziemy.

Aloe. Serdecznie dziękujemy — prosimy o częstszą pamięć.

Promienisty. Tematy tak wzniosłe domagają się formy artystycznie wykończonej. Utwory nadesłane zdradzają zdolność, którą należy rozwijać, ale nie nadają się do druku.

Panu Romanowi S. w Duisburgu. Tak — musi koniecznie złożyć egzamin przed specyalną komisyą wybraną przez regencyą.

Panu Józefowi K. w Szamotułach. W takich sprawach informacyi już nie zamieszczamy, gdyż mieliśmy często nieprzyjemności z powodu zamieszczenia rozmyślnie nam podanych faktów nieprawdziwych. Najlepiej będzie zamieścić ogłoszenie, a reflektanci się zgłoszą.

Humorystyka.

Sprzedawczykom.

(„Was das Riemzeug hält“)

— znalezione na ulicy w Poznaniu. —

Wszyscy wiecie, jakie zyski
Sportsmann niesie tej krainie —.
Swemi końmi, psy i dyski,
Lecz nie wiecie, jak dziś słynie
W polskiej mowie
Ich przysłowie: „was das Riemzeug hält!“

Dawniej w Polsce hasłem brzmiało,
Cnotą bracia! szablą w górę! —
Dzisiaj szabel — cnót nie stało;
Hasłem skóra — to też w skórę
Bierze sprawa,
Kraj i sława „was das Riemzeug hält.“

A tymczasem hulaj sobie,
Hulaj panie, póki starczysz
I nie pytaj, co o Tobie
Powie naród, że frymarczysz
Ojców mieniem
I sumieniem „was das Riemzeug hält.“

Żyj po pańsku lube dziecię,
Pij szampana, sprzęgaj cugi,
Póki grosze są w kalecie,
Jak ich braknie — to rób długi!
Rób je żwawo —
W lewo, w prawo „was das Riemzeug hält.“

Sprzedaj Niemcom ojców ziemię
A potem jedź do Monako!
Wpuść do Polski obce plemię,
A ty zaś żyj lada jako —
Grywaj w karty
Nie na żarty „was das Riemzeug hält.“

Ale pękną i rzemienie,
Przyjdą w końcu dni żebracze,
Głód dokuczy i sumienie,
Wszyscy wzgardzą — kraj zapłacze
A rodzina
Cię przeklina „was das Riemzeug hält!“

J. K. Korab-Jasielski.
Poznań, 10. 7. 1900.

Na ulicy.

— Niedawno byłeś głuchoniemy, a teraz żebrzesz jako ślepy?

— Łaskawa pani, przecież i publiczności trzba dać jakąś odmianę....

*

Porada lekarska.

Lekarz: Przedewszystkiem powinieneś pan unikać gorących napojów. Piwo np. jest dla pana trucizną.

Chory: Doktorze, jeśli piwo jest gorącym napojem, to nie chcę żyć na tak przewrotnym świecie i wolę się otruć.

A jednak wesoły?



— To rzecz dziwna! Po ostatniej awanturze stracił opinię, a jednak jest ciągle wesołym.

— Widocznie ta jego opinia nie wiele była warta, więc straty nie żałuje.

Lipiec na wsi.

Pobawiłeś na wystawie,
Żwawy i wesoły
I znów jesteś przy swym stawie
Comme de raison... goły.

Na swe łany ukochane
Patrząc, jak kolumna,
Widzisz żyto już sprzedane,
Zwiezione do gumna.

Lecz po chwili marszczysz lice,
Przechodzą cię dreszcze,
Bo sprzedaną masz pszenicę,
Choć nie zżętą jeszcze.

Pozostał ci dla pociechy
Owies, len i proso,
Więc nie wyjdziesz ze swej strzechy
Z torbami i boso.

Na twe zboża (chociaż trudniej)
Żydki też polecą,
Trzos twój wkrótce się zaludni
Wpłynie grosza nieco. *L.*

Za wszelkie reklamy i ogłoszenia odpowiedzialnym jest administrator „Pracy“ **Wincenty Szmytkowski.**

FABRYKA
papierosów i tureckich tytuni „VULKAN“
I. F. J. Komendziński w Dreznie
zwraca Szanownym Amatorom łaskawą uwagę na swoje papierosy i tureckie tytunie, które w wszystkich główniejszych odnośnych handlach są do nabycia. Podróżujących z zasady nie wysyła, oblicza natomiast przystępniejsze ceny i odstawia lepszy towar. 45

Najdroższy szal na świecie posiada cesarzowa wdowa rosyjska, szacujące na 70,000 rubli, gdyż utkany jest z pajęczyny. Można sobie wyobrazić, że wszelkich dokłada się starań, aby tę kosztowność ucbronić od zniszczenia. Najwięcej jest obawy, aby go nie zniszczyły owady. Należałoby cesarzowej polecić „Ori“. „Ori“, tak znakomity środek uwolnił by ją raz na zawsze od tej troski. Tym najprzedniejszym środkiem celem wyniszczenia wszystkich owadów wraz z zarodem jest i będzie intenzywnie działający ludziom i zwierzętom nie szkodliwy „Ori“.

Panienka
z porządnej rodziny, intelig. szuka zaraz lub od 1-go sierpnia miejsca, jako towarzyszka samotnej Pani, lub zajęcia się dziećmi, na pensyą się nie zważa.
Łaskawe zgłoszenia przyjmuje ekspedycya „Pracy“ pod lit. **A nr. 410.**

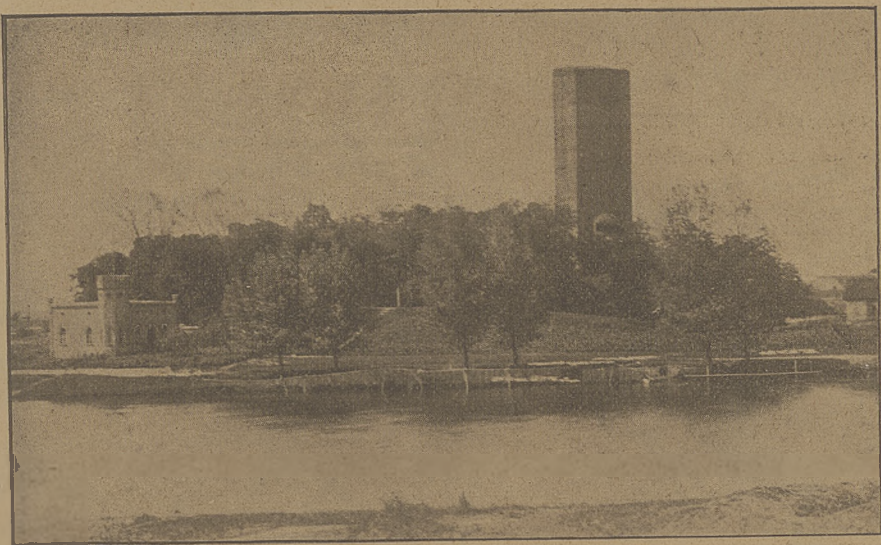
Do prania w wodzie źródlanej (twardej) jest bezwarunkowo najodpowiedniejsze

mydło
terpentynowo-salmiakowe

z poznańskiej parowej fabryki mydła

Ludwika Ascha w Starołęce,

które jest zarazem w użyciu najoszczędniejszem. Każdy kawałek nosi zupełne znamię fabryki, na co przy kupnie uważać trzeba. 994



Szanownym Towarzystwom, Panom kołownikom, Kółkom familijnym i t. d. polecam mój przy jeziorze Gople położony 399

piękny ogród z kręgielnią i salą do tańca.

Lubownikom sportu polecam moje **łodzie do przejażdżek po jeziorze.** Przyrzekam skorą i rzetelną usługę.

Uniżony

M. Degórski, Kruświca.

Pierwsza poznańska



fabryka kołowców „Felix“

Warsztat reparacyjny kołowców, 401
samochodów, zakład mechaniki i elektrotechniki.
Gumienny, Poznań, Rycerska 2.

W środę dnia 18 Lipca r. b. przed południem o godzinie 10 sprzedam na miejscu w **Dębnie** pod Mogilnem gospodarstwo Dębno No. 23 około

54 morgi

z budynkami kompletnymi żywym i martwym inwentarzem oraz całem żniwem.

Gospodarstwo to można podzielić na dwie części.

Wpłaty potrzeba najmniej 3 tysiące marek.

Reflektanci mogą i przed terminem gospodarstwo to obejrzeć i zemną kontrakta zawierać. 407

Józef Stark, Mogilno.

Jako stały abonent „Pracy“ upraszam szan. współczytelników o łaskawe wskazanie zajęcia dla **mężczyzny w średnim wieku z wyższem wykształceniem,** dawniejszego obywatela ziemskiego, który od lat dziesięciu był w biórze rządowem zatrudniony i posiada chlubne świadectwo. Wskutek prądu obecnego został usunięty. Łask. ofert. uprasza się pod Lit. **A. B. 408** do Eksped. „Pracy“. 408

Wspólnika

z kapitałem około 15-tu tysięcy mk. celem powiększenia interesu poszukuje się do przedsiębiorstwa przemysłowo-kupieckiego, świetnie prosperującego, z bardzo dobrą i liczną klientelą w większym mieście Ks. Poznańskiego. Chwilowy obrót 50 tysięcy mk. Firma znana i dobrze zaprowadzona. Znajomość branży nie potrzebna. Zgłoszenia przyjm. ekspedycya „Pracy“ pod nr. **400.**

„Każdy chory“

odzyska całkowicie swoje utracone zdrowie, za dokładnym opisem swej choroby. — Listy uprasza się w wszelkiem zaufaniu nadsyłać pod lit. **T. D. 409** do eksped. „Pracy“. Ręcząc ścisłą dyskrecyą. 409

Zakład wodoleczniczy i kąpielowy

w ogrodzie Lamberta ul. Rycerska 15.

Wszelkie procedury wodolecznicze.
Kąpiele ruskie i rzymskie. 395

Kąpiele elektryczne.

Kąpiele z kwasem węglowym i wszelkiemi dodatkami leczniczemi.

Cegielnia w Przysiece

G. m. b. H. 406

Niem. Przysieka — Dtsch. Presse Bz. Posen

poleca w wybor. gatunku i starannem wykonaniu

tonówkę	**falcówkę**
klinkry	**dachówkę**
cegłę posadzkową	**licówkę i**
sączki	**cegłę formową.**

Kołdry

(Steppdecken)

w bardzo wielkim wyborze rozmaitego gatunku, koloru i w pięknych deseniach nabyć można tylko ***w pierwszej wiedeńskiej fabryce kołder***

R. Bild'a

a nie w żadnym innym składzie. Przerabiam kołdry najdokładniej, mając w tym celu na składzie wielki wybór materyi. 43

R. Bild'a

pierwsza wiedeńska fabryka kołder, **Wrocław, Breslau, Schmiedebrücke Nr. 55.**

Wchód: Kupferschmiedestr. I drzwi, I piętro.

Tylko kapsułki Sanidowe

(10 gr. San., 3 Sal., 3 Cub., 1 Terpinol) skutkują natychmiast i bez rycydywy przy upławach, katarze pęcherza i t. d. (Żadne wstrzykiwanie.) Cena **3 mk.** za flaszkę. 1057

Skład główny: **L. Hofmann,** apteka, Schkenditz — Lipsk. W Poznaniu: **Czerwona Apteka, Rynek 37.**

Smyrneńskie

wyroby ręczne

i 1025

dywany smyrneńskie

cenniki darmo i franko.

Fabryka wełny

Wilh. Lau, Arnswalde.

W zamian daję przędzę smyrneńską za wełnę owczą.

Fabryka mydeł

domowych, technicznych i toaletowych (jedyna istniejąca polska) jest

St. Żychlińskiego

w Gnieźnie.

Panna

Polka, 38—45 lat, nieposzł. przeszł., z majątk. w gotówce najm. 3000 mk., mająca chęć wyjścia za starsz. kaw. z lepsz. domu, niech raczy łask. celem bliższ. porozum. podać swój adres w zamk. kop. z napis: **„Hymen 1900“** do ekspedycyi „Pracy“.

Pensyonat dla uczennic.

Troskliwa opieka, pomoc w naukach. Język francuzki i niemiecki w codziennem użyciu.

M. Gońska, 405

Bydgoszcz, ul. Dworcowa 7. II.

Restauracya

i wyszynk wódek z pełnym konsensem jest zaraz do wydzierżawienia. Zgłoszenia przyjmuje właściciel Szkólna ul. 4. 385

Lokal

z składem i wyszynkiem piwa i wódek w rynku, najbardziej ożywionem miejscu, jest od 1-go października r. b. do wydzierżawienia. 394

Zgłoszenia przyjmuje

M. Borowicz

Browar w Krotoszynie.

Ucznia

z dobrem wychowaniem przyjmie do handlu kolonialnego i destylacyi 398

L. Siemianowski

w Strzelnie.

Ucznia

z odpowiedniem wykształceniem szkólnem, syna poczciwych rodziców, przyjmie zaraz

E. Glatzel, 374

handel korzenny i destylacya,

Nakło nad Notecią.

Ucznia

poszukuję do mego handlu drogeryjnego i kolonialnego.

391 **K. Hubert,**

Kościerzyna (Berent W.-Pr.)

Ucznia

z odpowiedniem wykształceniem szkólnem przyjmie zaraz 373

M. Jankowski,

Drogerya w Grodzisku.

Br. Śniegocki

Poznań, plac Wilhelmowski Nr. 10. poleca **Narożnik ulicy Rycerskiej.**
Adr. telegr.: B. Śniegocki, Poznań. **Telefon Nr. 532.**

Aparaty fotograficzne

we wielkim wyborze i po bardzo nizkich cenach.



Aparacik fotograficzny „Miljon I“ z przyb. do obrazków $4^{1}/_{2}$—6 cm. 1 mr.
Aparacik fotograficzny „Miljon II“ z przyb. do obrazków 6—9 cm. 1,50 m.
Aparacik fotograficzny „Argus“ z kasetą i wszelkiemi przyborami 10,00 m.
Aparat fotograficzny „Sport“ z 1 dubeltową kasetą, statiwem i torbą, złożony, bardzo mało miejsca zajmujący 20 mr. Przybory do tegoż 8 mr.
Droższe aparaty podług cennika, który na żądanie przesyłam gratis i franko.



Płótna do malowania

we wszelkich rozmiarach

Gotowe ramki

do nabijania płótna.

Palety

drewniane i porcelanowe.



FARBY

olejne Karmańskiego i Moewesa.

Farby

wodne, suche Chenala i w tubach Schoenfelda.

Vernis Soehnée Frères.

Wszelkie gatunki

pędzli.



Wyborne farby

i lakiery na podłogi

z pięknym połyskiem i szybko schnące.

Farba pokostowa (olejna) metalowa 1 funt 0,40,
„ z lakierem bursztynowym 1 puszka zawierająca 2 funty 1,60.
Masa woskowa do zaprawiania posadzek 1 f. 0,95.

Narzędzia bartnicze
we wielkim wyborze.
Cennik na żądanie gratis i franko.

Zakład ogrodniczy J. Witkowskiego

w Starem Łąkie p. Rothenburg a. Obra (Rostarzewo)

poleca

Flance (wysadki) truskawek w najlepszych i największych odmianach.

gatunki pewne, przez siebie wypróbowane, n. p. Laxton's Nobel, König von Sachsen, Kaiser Semling, Kaiser Wilhelm, Adam Koch, Sharples, Competitor, Scartel Quen, Royal Souvereigen, Bromswunder, te gatunki dostać można **100 sztuk za 1 mk.** Inne gatunki, n. p. Walluf, Latest of All, Comet, Alexander von Humboldt, Königliche Hochheit, White pine Apple, Hohenzollern, Helgoland, Teutonia, Kaiser Nicolaus von Russland, Weisse Ananas, Leader, Grosse Lombarde, Monarch, Rubicunda i wiele innych **za 100 sztuk 2 mk.** Powtarzające, które rodzą aż do mrozu, n. p. św. Józefa, Louis Gauthier, Oregon, La Constance i t. d. **100 sztuk po 4 mk.** 403

Jagody (poziomki) w najlepszych odmianach

n. p. Ruhm von Döbeltiz, Ruhm von Weding, Schöne Wienerin, Schöne Anhaltinerin, Bussés czerwone bez wąsów. Gaillon rouge także bez wąsów, **100 sztuk po 1,50 mk.** Wszystkich niepodobna wymieniać, gdyż posiadam 65 gatunków od najwcześniejszych do najpóźniejszych.

nie potrzeba więc szukać u obcych, kiedy można dostać u swoich i taniej.

Zakład ogrodniczy
ze składem towarów kolonialnych w wielkiej wsi, obejmujący 6 mórg wzorowo utrzymywanych plantacyi truskawek, szparagów, oraz szkółkę drzew owocowych, zabudowania nowe masyw murowane, jest zaraz lub później do nabycia. Egzystencya pewna!
Zgłoszenia przyjmuje Ekspedycya „Pracy pod lit. **W.** num. 404. bez nadesłania marki pocztowej nieodpowiadam. 404

Korzystne kupno.

Księgarnia, skład papieru i galanterya, oraz skład dewocyonali w Prusach Zachodnich jest od zaraz do sprzedania.
Zgłoszenia uprasza do Ekspedycyi „Pracy“ przesłać pod lit. **P.** num. **402.** 402